

Henryk Sienkiewicz

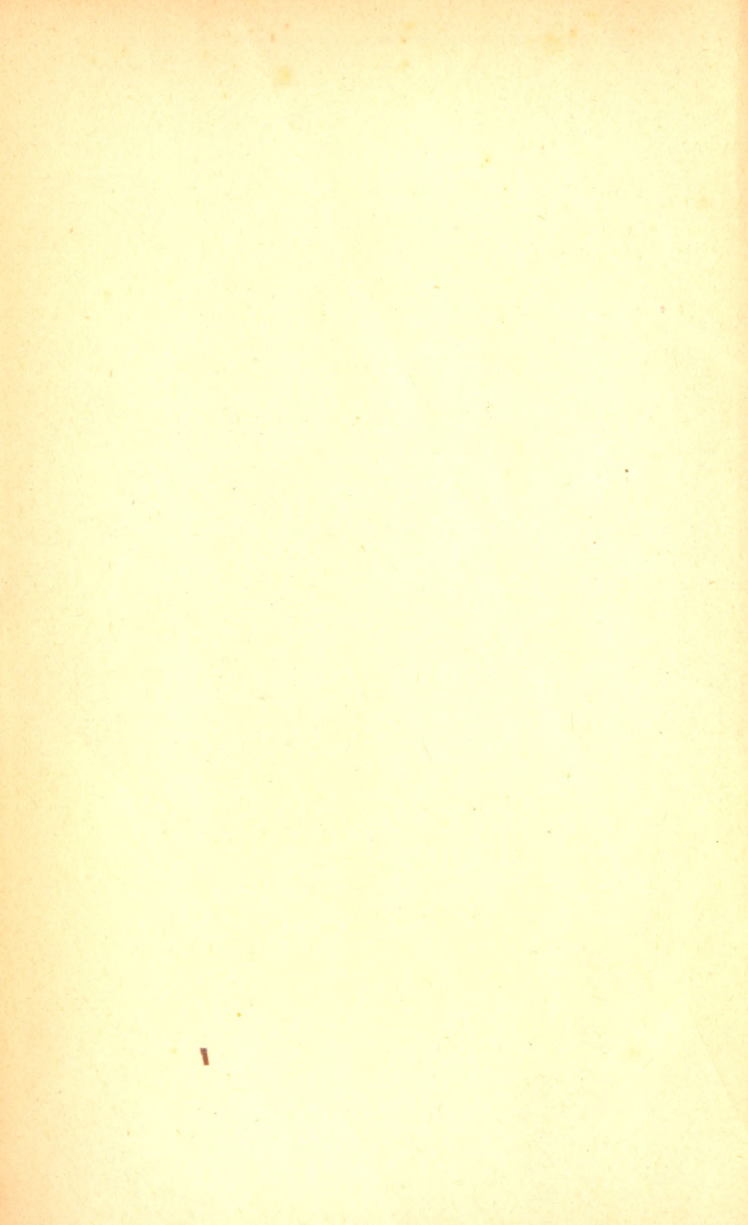


PISMA

XIX

WYDAWE

REDAKCYI PISMA ILLUSTROWANEGO



PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XIX.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XIX

304964

RODZINA POŁANIECKICH
CZĘŚĆ V.

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1900



78955 L-P

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Ноября 1899.

XXXVII.

— Nawet się nie pytam, — mówił Bigiel do Polanieckiego, po jego powrocie do Warszawy — czy jesteś szczęśliwy. Z taką osobą, jak twoja żona, nie można być nieszczęśliwym.

— Tak — odpowiedział Polaniecki. — Marynia taka poczeiwa kobiecina, że trudno o lepszą. Poczem zwrócił się do pani Bigielowej:

— Obojgu nam dobrze — rzekł — i nie może być inaczej. Pamięta droga pani nasze dawne rozmowy o małżeństwie i miłości? Pamięta pani, jak ja się bałem, żeby nie trafić na kobietę, któraby chciała zasłonić sobą mężowi cały świat, zająć wszystkie jego myśli, wszystkie jego uczucia, być jedynym celem jego życia? Pamięta pani, jak dowodziłem i pani i pani Emilii, że jednak miłość dla kobiety nie może i nie powinna być dla człowieka wszystkim i że poza nią są inne sprawy na świecie?

— Tak, ale pamiętam także, co ja panu mówiłam, iż mnie naprzykład zajęcia domowe nie

a nie nie przeszkadzają kochać dzieci... Bo ja wiem! ale tak mi się jakoś zdaje, że te rzeczy nie są, jak na przykład, pudełka, których jak się kilka na stole postawi, to na inne niema już miejsca.

— Moja żona ma słuszość — rzekł Bigiel. — To zauważyłem, że ludzie często się mylą, przenosząc w warunki fizyczne uczucia, albo idee. Gdy o nich mowa, niema co mówić o miejscu...

Na to Połaniecki rzekł wesolo:

— Cicho, ty kraju podbity!

— A kiedy mi z tem dobrze — rzekł roztropnie Bigiel. — Przytem i ty będziesz podbity.

— Ja?

— Tak. Poczciwością, dobrocią, sercem.

— To co innego. Można być podbitym i nie być pantoflem. Nie przeszkadzajcie mi państwo chwalić Maryni. Trafiłem tak, że lepiej nie mogłem, i właśnie dlatego, że ona zadowala się takim uczuciem, jakie dla niej mam — i nie chce być mojem wyłącznem bożyszczem. Za to ją kocham! Bóg mnie ustrzegł od żony wymagającej poświęcenia dla siebie całej duszy, całego rozumu, całej istoty et caetera — i szczerze mu za to dziękuję, bo takiejbym nie zniósł. Prędzej rozumiem, że to wszystko można dać z dobrej woli, a mianowicie wówczas, gdy to nie jest wymaganiem.

— Niech mi pan wierzy, panie Stanisławie, — odrzekła pani Bigielowa — że my bez wyjątku jesteśmy pod tym względem jednako wymagające, tylko z początku bierzemy często tę część, którą nam dają, za całość, a potem...

— A potem co? — przerwał nieco drwiąco Polaniecki.

— Potem te, które mają w sercu prawdziwą poczciwość, zdobywają się na coś, co dla was jest słowem bez znaczenia, a dla nas często podstawą życia.

— Cóż to za talizman?

— Rezygnacya.

Polaniecki zaczął się śmiać.

— Nieboszczyk Bukacki mawiał, — rzekł — że kobiety ubierają się często w rezygnację, tak jak w kapelusz, dlatego, że im z tem do twarzy. Kapelusz z rezygnacji, woalka z lekkiej melancholii — alboż to brzydkie?

— Nie, to nie brzydkie. Co pan chce! może to strój, ale w takim stroju łatwiej się dostać do nieba, niż w innym.

— To moja Marynia skazana w takim razie do piekła, bo mam nadzieję, że go nie będzie nigdy nosiła. Zresztą za chwilę ją pani zobaczy, gdyż obiecała mi, że po naszych godzinach biurowych przyjdzie do państwa. Spóźniła się marmuda, ale już tu powinna być.

— Ojciec pewnie jej nie puszcza. Ale zostaniecie państwo u nas na obiedzie, bez żadnej ceremonii — prawda?

— Zostaniemy na obiedzie. Zgoda!

— I tak ktoś się nam dziś obiecał, więc się tylko towarzystwo powiększy. Tymczasem pójde zapowiedzieć, żeby przygotowano dla was nakrycia.

To rzekłszy, pani Bigielowa wyszła. Polaniecki zaś spytał Bigiela:

— Kogo macie mieć na obiedzie?

— Zawilowskiego, przyszłego korespondenta naszego Domu.

— Jaki to Zawilowski?

— Ten, ten sam, znany już — poeta.

— Z Parnasu do kantorka? jakże to?

— Bo już nie pamiętam, kto powiedział, że społeczeństwo nasze trzyma swoich geniuszów na dyecie. Mówią, że to bardzo zdolny człowiek, ale wierszami nie można na chleb zarobić. Wiesz, nasz Ciskowski przeszedł do Towarzystwa ubezpieczeń — posada zawakowała, i zgłosił się Zawilowski. Miałem trochę skrupułów, ale on mi powiedział, że to dla niego kwestya chleba i możliwości pracy. Przytem podobał mi się, bo się przyznał odrazu, że w trzech językach pisze, ale żadnym dobrze nie mówi,

a powtóre, że nie ma najmniejszego pojęcia o korespondencyi handlowej.

— E, to głupstwo — odrzekł Połaniecki; — w tydzień się nauczy. Tylko czy to na długo będzie tej posady i czy korespondencya nie będzie zalegała... Z poetą sprawa!

— To się pożegnamy. Ale rozumiesz, że gdy sam się zgłosił, woląłem dać miejsce takiemu Zawilowskiemu, niż komu innemu. Za trzy dni ma zacząć robotę. Tymczasem wypłaciłem mu naprzód miesięczną pensyę, bo było trzeba.

— Goły był?

— Zdaje się. Jest tu stary Zawilowski, ten, co ma córkę, bardzo bogaty człowiek. Pytałem się naszego, czy nie jego krewny. Powiedział, że nie, ale się przytem zaczerwienił, więc myślę, że tak. Ale jak to u nas! w niczem równowagi: jedni wypierają się krewnych dlatego, że biedni, inni dlatego, że bogaci. Wszystko dla fantazyi — i przez tę szelmowską pychę. On ci się zresztą spodoba. Żonie mojej się podobał.

— Kto się podobał twojej żonie? — spytała wchodząc pani Bigielowa.

— Zawilowski.

— Bem czytała jego taki ładny wiersz, pod tytułem: «Na progu». Przytem Zawilowski wygląda, jakby coś chował przed ludźmi.

— Chowal biedę, a raczej bieda jego chowała.

— Nie, on wygląda jakby przeszedł przez jakiś ciężki zawód.

— Widziałeś romantyczkę! Mówiła mi już, że on dużo przecierpiał, i obrazila się, gdym wyraził przypuszczenie, że może na robaki w dziecinnym wieku, albo na ognipiór. To dla niej nie doś poetyczne.

Lecz Polaniecki począł spoglądać na zegarek i począł się niecierpliwić.

— Nie popisuje mi się Marynia — rzekł: — co za maruda!

Lecz «maruda» właśnie w tej chwili nadeszła, a raczej nadjechała. Powitanie odbyło się bez wybuchów, albowiem z Bigielową widziały się już poprzednio na kolei. Polaniecki zapowiedział żonie, że zostają na obiad, na co zgodziła się chętnie, a następnie poczęła witać się z dziećmi, które hurmem wpadły do pokoju.

Tymczasem nadszedł Zawilowski, którego Bigiel przedstawił Polanieckim. Był to jeszcze zupełnie młody człowiek, lat około dwudziestu siedmiu lub ośmiu, i Polaniecki, patrząc na niego, zauważył, że bynajmniej nie ma miny człowieka, który dużo cierpiał w życiu. Był tylko widocznie zakłopotany w towarzystwie, którego przez pół wcale nie znał. Twarz miał nerwową, z wy-

stającą silnie naprzód, jak u Wagnera, brodą, z wesolemi czarnemi oczyma i z niezmiernie delikatnem, bielszem niż reszta twarzy, czołem, na którym wydatne żyły formowały literę Y. Był przytem dość wysoki i dość niezgrabny.

— Słyszałem, — rzekł mu Polaniecki — że za trzy dni zacznie pan z nami kolegować.

— Tak jest, panie pryncypale — odpowiedział młody człowiek: — raczej służyć w biurze.

Polaniecki zaczął się śmiać.

— Tylko pan daj spokój z pryncypalowaniem! U nas niema zwyczaju tak się mościć mościami, albo pryncypalować... Nie wiem, czy-baby mojej żonie podobał się taki tytuł, dlatego, że dodałby jej powagi we własnych oczach.

Tu zwrócił się do Maryni:

— Słuchaj-no, pani pryncypalowo: czy chcesz, żeby cię nazywano pryncypalową? Będzie nowa zabawa!

Zawilowski zmieszał się, ale począł się równie śmiać, gdy pani Polaniecka odrzekła:

— Nie, bo mi się zdaje, że «pryncypalowa» powinna nosić ot taki ogromny czeppek (tu pokazała rękoma, jak wielki), a ja nie cierpię czepka.

Zawilowskiemu uczyniło się rażniej wśród wesolej dobroduszości tych ludzi, zmieszał się jednak znowu, gdy Marynia mu rzekła:

— A pan to mój dawny znajomy. Teraz nic nowego nie czytałam, bośmy dopiero co wrócili; czy przybyło co przez ten czas?

— Nie, pani — odpowiedział; — ja się tak tem zajmuję, jak pan Bigiel muzyką: w wolnych chwilach i dla własnej rozrywki.

— Nie wierzę — odpowiedziała pani Polaniecka.

I miała słuszność nie wierzyć, bo wcale tak nie było. W odpowiedzi Zawilowskiego brakło też prostoty, ale on chciał dać poznać, że przede wszystkim pragnie uchodzić za korespondenta Domu handlowego i być traktowanym jako urzędnik, nie jako poeta. Tytułował też Bigiela i Polanieckiego, bynajmniej nie przez potulność, tylko, by okazać, że podjąwszy się pracy biurowej, uważa ją za tak dobrą, jak każda inna, że się do tej roli stosuje i będzie się stosował w przyszłości. Było w tem również i co innego. Zawilowski, jakkolwiek młody, spostrzegł, ile jest śmieszności w ludziach, którzy, napisawszy jeden lub drugi wierszyk, przybierają pozy wieszczów i każą się za wieszczów uważać. Jego wygórowana miłość własna drżała przed obawą śmieszności — wpadł więc w drugą ostateczność i prawie wstydził się swojej poezji. W ostatnich czasach, w których przytem znosił wielki niedostatek, stało się to niemal dzi-

wactwem, i najlżejsza wzmianka z czyjejkolwiek strony o tem, że jest poetą, wprowadzała go w tłumiony gniew.

Czuł zaś jednocześnie, że jest nielogicznym, wobec tego bowiem najprostszą rzeczą było nie pisywać wierszy i nie ogłaszać ich; ale od tego nie mógł się powstrzymać. Głowa jego nie była otoczona jeszcze aureolą, ale padło już na nią kilka promyków, które to rozświetlały mu czoło, to gasły, w miarę jak tworzył, lub się zaniedbywał. Po każdym nowym wierszu promyk poczynał na nowo drgać — i Zawilowski, zarówno zdolny jak ambitny, cenil w gruncie rzeczy te odbłyски slawy więcej, niż wszystko w świecie. Chciał jednak, by ludzie między sobą tylko o nim mówili, ale nie jemu w oczy. Gdy przeczuwał, że o nim zaczynają zapominać, cierpiał skrycie. Było w nim jakby rozdwojenie miłości własnej, która chce slawy i zarazem odpycha ją przez pewną dzikość i dumę, z obawy, by ktoś nie powiedział, że jej za dużo. A prócz tego tkwiło w nim mnóstwo sprzeczności, jak w człowieku młodym i wrażliwym, który przeżywa się i odczuwa wyjątkowo, a wśród tych odczuwań nie umie częstokroć własnego *ja* odnaleźć. Z tego powodu artyści wogóle wydają się częstokroć sztuczni.

Tymczasem jednak podano obiad, podczas

którego rozmowa toczyła się oczywiście o Włoszech i o ludziach, jakich Polanieccy tam spotkali. Polaniecki opowiadał o Bukackim i o jego ostatnich chwilach, a zarazem ostatniej woli, wskutek której stał się spadkobiercą po nim dość znacznej sumy. Daleko większa część miała być użyta na cele publiczne — i o tem mieli się z Bigielem naradzić. Lubiono jednak Bukackiego i wspominano go ze współczuciem, a pani Bigielowa miała nawet lzy w oczach, gdy Marynia wspomniała, że się przed śmiercią wyświadczył i że umarł jak chrześcijanin. Ale współczucie to było tego rodzaju, że można było przy niem jeść obiad, i jeśli Bukacki wzdychał kiedykolwiek naprawdę za Nirwaną, to obecnie miał, czego chciał, został bowiem dla ludzi, nawet sobie blizkich i którzy go lubili, wspomnieniem zarówno lekkim, jak nietrwalem. Jeszcze tydzień, miesiąc lub rok — i nazwisko jego miało się stać dźwiękiem bez echa. Istotnie, na niczyją głębszą miłość nie zarobił, niczyjej nie miał, i życie spłynęło mu w ten sposób, że nawet po takim dziecku, jak Litka, zostało nie tylko stokroć więcej żalu, miłości, ale i pamiętnych śladów. Zawilowskiego, który go nie znał, zaciekawiło z początku jego życie, gdy jednak wysłuchał wszystkiego, co Polaniecki opowiadał, pomyślawszy, rzekł: «To w dodatku kopia!» —

Bukackiego, który ze wszystkiego żartował, byłby jednak zabolął taki nagrobek.

Lecz Marynia, chcąc nadać weselszy zwrot rozmowie, poczęła opowiadać o wycieczkach, które czynili po Rzymie i jego okolicach, bądź to sami, bądź ze Świrskim, bądź z Osnowskimi. Bigiel, który był kolegą Osnowskiego i od czasu do czasu jeszcze go widywał, rzekł:

— On ma jedną miłość, to jest własną żonę, i jedną nienawiść, to jest własną otyłość, a raczej skłonność do niej. Zresztą najlepszy w świecie człowiek.

— Ależ on wygląda zupełnie szczupły — rzekła Marynia.

— Dwa lata temu był prawie gruby, ale jak począł jeździć na welocypedzie, fechtować się, zażywać kuracyi Bettinga, latem pić Karlsbad, a zimą jeździć do Włoch lub Egiptu dla transpiracyi — tak napowrót zrobił się cienki. Zresztą, źle powiedziałem, że on ma nienawiść do otyłości — to jego żona! A on to czyni przez kokieterię dla niej. Tańcowywał też po całych nocach na balach, także z tego samego powodu.

— To «sclavus saltans» — rzekł Polaniecki. — Świrski już nam o tem opowiadał.

— Bo rozumiem, że można żonę kochać, — rzekł Bigiel — że można ją uważać, jak się to mówi: za żrenicę oka. Dobrze! Ale ja, jak Boga

kocham, slyszalem, że on do swojej wiersze pisuje, że otwiera z zamkniętymi oczyma książki, zaznacza palcem wiersz i wróży sobie z tego, co przeczyta, czy jest kochany. Jeśli mu źle wypadnie, to wpada w melancholię. On się kocha jak student. Liczy wszystkie jej spojrzenia, usiłuje odgadnąć, co miało za znaczenie takie lub owakie jej słowo; całuje nietylko jej nogi i ręce, ale gdy myśli, że nikt na niego nie patrzy, to i jej rękawiczki... Bóg wie co! i tak już przez całe lata.

— A jaki kochany! — rzekła Marynia.

— Chciałabyś, żebym taki był? — spytał Polaniecki.

Ona pomyślała chwilkę i odrzekła:

— Nie, bo w takim razie byłbyś inny, niż jesteś.

— O to Machiawel! — rzekł Bigiel. — Warto by taką odpowiedź zapisać, bo to zarazem i pochwała, i trochę krytyki, i zaświadczenie, że tak jak jest, jest najlepiej, i że możnaby żądać jeszcze czegoś lepszego. Dajże tu sobie, człowieku, z tem radę.

— Ja to biorę, jako pochwałę, — rzekł Polaniecki — choć pani (tu zwrócił się do Bigielowej) powie zapewne, że to rezygnacya.

Pani Bigielowa odrzekła, śmiejąc się:

— Wierzch jest z miłości, rezygnacya może

przyjść z czasem jako podszewka, jeśli zacznie być chłodno.

Lecz Zawilowski patrzył z ciekawością na Marynię. Sama ona wydawała mu się i ładna, i sympatyczna, a odpowiedź jej zastanowiła go. Pomyślał jednak, że tak mogła mówić tylko kobieta bardzo zakochana, której nigdy nie dość uczucia. I począł spoglądać na Polanieckiego z pewną zazdrością, że zaś był wielkim samotnikiem, więc przyszły mu zarazem do głowy słowa piosenki: «U sąsiada żonka miła».

Tymczasem, ponieważ cały czas milczał, lub przemówił zaledwie parę słów, wydawało mu się, że trzebaby jakoś wtrącić się do rozmowy. Ale powstrzymywała go nieśmiałość i przytem przemijający ból zębów, który, po przejściu większego paroksyzmu, odzywał się jeszcze dość silnie. Odbierało mu to resztę animuszu — wreszcie jednak, zdobywszy się na odwagę, spytał:

— A pani Osnowska?

— A pani Osnowska — odrzekł Polaniecki — ma męża, który kocha za dwoje, więc się nie potrzebuje fatygować. Tak przynajmniej utrzymuje Świrski. Przytem ma chińskie oczy, ma imię Aneta, plombę w górnych ząbkach, którą widać, jak się bardzo śmieje — więc woli się uśmiechać — i wogóle jest jak synogarliczka: kręci się w kółko i woła: «Cukru! cukru!»

— To złośliwy człowiek! — odrzekła Marynia. — Jest śliczna, żywa, sprytna — a pan Świrski nie może wiedzieć, o ile ona męża kocha, bo z pewnością o tem z nią nie rozmawiał. To wszystko są tylko przypuszczenia.

Połaniecki pomyślał dwie rzeczy: naprzód, że to nie są przypuszczenia, a powtóre, że ma żonę równie naiwną, jak poczciwą.

Zawilowski zaś rzekł:

— Ciekawym, coby to było, gdyby ona tak samo kochała się w nim, jak on w niej?

— Byłby to największy dwuosobowy egoizm, jaki świat widział — odpowiedział Połaniecki. — Byliby tak zajęci sobą, że nie widzieliby nic i nikogo obok siebie.

Zawilowski uśmiechnął się i odrzekł:

— Światło nie przeszkadza ciepłu, ale je rodzi.

— Ściśle biorąc, to jest porównanie więcej poetyczne, niż fizyczne — odrzekł Połaniecki.

Ale obydwom paniom podobała się odpowiedź Zawilowskiego, i obie poparły go gorąco, a gdy do nich przyłączył się i Bigiel, Połaniecki został przegłosowany.

Potem poczęto mówić o Maszce i jego żonie. Bigiel opowiadał, że Maszko dostał w ręce ogromną sprawę o zwalenie milionowego testamentu po panie Płoszowskiej, z którą wystą-

pilo kilkunastu spadkobierców dość dalekich. Pan Pławicki donosił o tem Maryni do Włoch, ale uważała całą sprawę za takie marzenie, jakim niegdyś były miliony, oparte na marglu w Krzemieniu, i zaledwie o tem wspomniała mężowi, który też odrazu kiwnął na wszystko ręką. Teraz sprawa, skoro Maszko się jej podjął, zapowiadała się poważniej. Bigiel przypuszczał, że muszą być jakieś nieformalności w testamencie, i twierdził, że gdyby Maszko wygrał, mógłby odrazu stanąć na nogach, wymówił sobie bowiem olbrzymie honorarium. Połanieckiego cała rzecz zaciekawila mocno.

— Maszko ma jednak sprężystość kota — rzekł: — zawsze padnie na nogi.

Bigiel zaś odpowiedział:

— I tym razem powinniście prosić Boga, żeby krzyża nie złamał, bo to dla pani i dla jej ojca chodzi o niemalą rzecz. Sam Płoszów ze wszystkimi folwarkami oceniono na siedmset tysięcy rubli. A prócz tego jest gruba gotówka.

— Toby było dziwne, taka niespodziana gratka — rzekł Połaniecki.

Lecz Marynia dowiedziała się z przykrością, że ojciec jej wystąpił wraz z innymi spadkobiercami o zwalenie testamentu. Jej «Stach» był człowiekiem zamożnym, i miała ślepa wiarę, że od niego tylko zależy zrobić miliony; ojciec

miał rentę, a prócz tego ona odstąpiła mu dożywocie na sumie, która się należała z Magierówki, więc bieda nikomu nie groziła. Miłoby wprawdzie było pani Polanieckiej móżdż odkupić Krzemień i wozić tam na lato swojego «Stacha», ale nie za takie pieniądze.

Poczęła więc mówić z wielkiem ożywieniem:

— Ja się tem tylko martwię. To były pieniądze użyte tak pocziwie! Nie godzi się zmieniać woli zmarłych, nie godzi się odejmować chleba biednym, albo szkołom. Synowiec pani Płoszowskiej zastrzelił się: może jej chodziło o ratunek duszy jego, o przejednanie bożego miłosierdzia. To się nie godzi!... Powinno się inaczej myśleć i inaczej czuć!...

I aż zapłonila się nieco, a Polaniecki rzekł:

— A jaka rezolutna!

Lecz ona wysunęła naprzód swoje nieco za szerokie usta z wyrazem zadąsanego dziecka, i poczęła powtarzać:

— No, Stachu, powiedz, że ja mam słusność, powiedz, że ja mam słusność!! Tyś to powinien powiedzieć!

— Bez wątpienia, — rzekł Polaniecki — ale Maszko może sprawę wygrać.

— Życzę mu, żeby przegrał — odpowiedziała.

Polaniecki zaś powtórzył:

— A jaka rezolutna!

«I jaka poczciwa, jaka szlachetna natura!» — pomyślał Zawilowski, nadając zarazem w swym plastycznym umyśle pojęciom o dobroci i szlachetności kształt kobiety o ciemnych włosach, niebieskich oczach, wysmukłej postawie i ustach nieco za szerokich.

Po obiedzie Bigiel z Połanieckim wyszli na cygara i czarną kawę do pokoju biurowego, gdzie mieli zarazem odbyć pierwszą naradę, na jakie cele rozporządzić spadkiem po Bukackim. Zawilowski, jako niepalący, został z paniami w salonie. Wówczas Marynia, która, jako pani «pryncypałowa», poczuwała się do obowiązku ośmielenia przysłego urzędnika «Domu», zbliżyła się do niego i rzekła:

— Ja, tak jak pani Bigielowa, chciałabym, żebyśmy wszyscy uważali się za jedną wielką rodzinę, dlatego niech pan zaliczy i nas do swoich dobrych znajomych.

— Z największą chęcią, jeśli pani pozwoli — odpowiedział Zawilowski. — Ja i tak byłbym złożył moje uszanowanie...

— Poznałam wszystkich panów z biura tylko na ślubie, potem zaraz wyjechaliśmy, ale teraz przyjdzie do bliższej znajomości. Mąż mi mówił, że chciałby, żebyśmy się zbierali jednego tygodnia u państwa Bigielów, a drugiego u nas.

To bardzo dobry zamiar, tylko ja robię jedno zastrzeżenie.

— Jakie? — spytała pani Bigielowa.

— Żeby nie wolno było mówić na tych zebraniach o żadnych interesach handlowych. Będzie trochę muzyki, bo spodziewam się, że o tem pomyśli pan Bigiel — a czasem odczytamy coś takiego, jak «Na progu».

— To chyba nie przy mnie — rzekł z przymuszonym uśmiechem Zawilowski.

A ona poczęła mu patrzeć w oczy ze zwykłą sobie prostotą:

— Czemu nie? — spytała. — Wobec ludzi szczerze przyjaznych? Myśmy o panu nieraz i mówili i myśleli, zanim przyszło do poznania, a cóż dopiero teraz.

Zawilowski czuł się ogromnie rozbrojony. Zdawało mu się, iż wpadł między wyjątkowych ludzi, a przynajmniej, że pani Polaniecka jest wyjątkową kobietą. Obawa, która paliła go jak ogień, żeby nie wydać się śmiesznym razem ze swoją poezją, ze swoją długą szyją i spiczastymi łokciami, poczęła się w nim zmniejszać. Było mu przy niej jakoś swobodnie. Odczuwał, że ona nigdy nie mówi dlatego tylko, by coś powiedzieć, lub ze względów towarzyskich, ale wypowiada najściślej tylko to, co płynie z jej dobroci i wrażliwości. Przytem zachwycała

go jej twarz i postać, tak jak w Wenecyi zachwyciła Świrskiego. A ponieważ przywykł szukać dla każdego wrażenia określeń, więc począł szukać wyrazów i dla niej — i czuł, że one powinny być nietylko szczerze, ale zarazem wykwintne, wdzięczne i polne, tak jak piękność jej była współcześnie wykwintna i polna. Uznał, że ma przed sobą temat, i zbudził się w nim artysta.

Tymczasem ona poczęła go wypytywać z wielką życzliwością o stosunki rodzinne, na szczęście jednak wejście do salonu Bigiela i Polanieckiego uwolniło go od dokładniejszych odpowiedzi, które musiałyby mu być przykre. Ojciec jego, znany niegdyś karciarz i hulaka, od kilku lat cierpiał na pomieszanie zmysłów i był w zakładzie dla obłąkanych.

Muzyka miała przerwać tę drażliwą rozmowę. Polaniecki kończył z Bigielem naradę, ów zaś mówił:

— Zdaje się, że to doskonały projekt, ale trzeba się jeszcze będzie namyślić.

Potem, wsparłszy się na wiolonczeli, począł się rzeczywiście namyślać, a wreszcie rzekł:

— To dziwna rzecz! Ja, jak gram, to niby nic innego mi nie w głowie, a tymczasem nieprawda! Jakaś cząstka mózgu zastanawia się

wtedy nad innemi rzeczami, i co szczególne, najlepsze pomysły wówczas przychodzą.

To rzekłszy, siadł, chwycił wionoczełę między kolana, przymknął oczy i rozpoczął «Pieśń wiosenną».

Zawiłowski odszedł tego dnia do siebie, zachwycony domem, ludźmi, ich prostotą, «Pieśnią wiosenną», a szczególnie panią Połaniecką.

Ona zaś ani się domyślała, że z czasem może wzbogacić «nowym dreszczem» poezję.

XXXVIII.

Państwo Maszkowie odwiedzili Połanieckich w tydzień po ich przyjeździe. Ona, przybrana w szarą suknię, obszytą takiejże barwy marabutem, wyglądała tak ładnie, jak nigdy. Zapalenie oczu, na które dawniej cierpiała, przeszło. Twarz jej posiadała dawniejszą obojętną, prawie senną łagodność, ale obecnie podnosiło to tylko jej artystyczny wyraz. Dawniejsza panna Krasławska była starsza około pięciu lat od Maryni i jako panna wyglądała starzej, teraz jednak zdawało się, że odmłodziła. Wysmukła i rzeczywiście nader zgrabna jej postać rysowała się w obcisłej sukni, jak dziecinna. Szcze-

gólną było rzeczą, że Polaniecki, który jej nie lubił, znajdował w niej coś pociągającego, i ilekroć ją widział, mówił sobie: «Wszelako w niej coś jest». Nawet jej głos monotony i nieco dziecinny miał dla niego pewien urok. Obecnie wprost powiedział sobie, że wygląda wyjątkowo wdzięcznie, i że więcej się zmieniła na korzyść od Maryni.

Sam Maszko zakwitł również, jak słonecznik. Dystynkcyą aż biła od niego, a obok niej pewność siebie i duma, łagodzona łaskawością. Zdaćby się mogło, że jednego dnia nie jest w stanie objechać swych włości — słowem, *udawał* więcej niż kiedykolwiek. Nie udawał tylko miłości do żony, znać bowiem było z każdego jego spojrzenia, że ją pokochał rzeczywiście. Naprawdę trudno byłoby znaleźć kobietę, któraby lepiej odpowiadała jego pojęciom o dobrym smaku, wykwiutności i wielkoświatowym polorze. Jej obojętność, jej jakby zamrożone obejście się z ludźmi, uważał za coś wprost nieporównanego. Ona tej «dystynkcyi» nie traciła nigdy i w żadnej chwili, nawet sam na sam z nim. On zaś, jak prawdziwy parweniusz, który posiadał księżniczkę, pokochał ją właśnie dlatego, że mu się wydawała księżniczką i że ją posiadał.

Marynia poczęła wypytywać, gdzie spędzili czas poślubny, na co pani Maszkowa odrzekła:

«w majątku męża» — takim tonikiem, jak gdyby ów «majątek męża» był majoratem od dwudziestu pokoleń — przyczem dodała, że za granicę wybierają się dopiero za rok, gdy mąż pokonczy interesa, tymczasem na letnie miesiące wyjadą znów do «majątku męża».

— Pani lubi wieś? — spytała Marynia.

— Mama lubi wieś — odrzekła pani Maszkowa.

— A Krzemień podobał się mamie pani?

— Tak. Tylko okna w domu, jak w oranżeryi. Tyle szyb!

— To trochę konieczne, — odrzekła, śmiejąc się, pani Połaniecka — bo jak się taka szyba stłucze, to ją każdy szklarz naprawi, a po wielkie trzebaby posyłać aż do Warszawy.

— Mąż mówi, że wybuduje nowy dom.

Pani Połaniecka westchnęła po cichu i zmieniła przedmiot rozmowy. Poczęły mówić o wspólnych znajomych. Pokazało się, że pani Maszkowa brała niegdyś z «Anetką» Osnowską i z jej młodszą krewną, Linetą Castelli, lekcyę tańca, że znają się doskonale, i że Lineta jeszcze ładniejsza od Anety, a przytem maluje i ma cały album własnych wierszy. Pani Maszkowa słyszała, że Anetka już wróciła i że Lineta zamieszka w tej samej willi aż do czerwca, ra-

zem ze swoją ciotką, panią Broniczową... «i to będzie bardzo dobrze, bo one takie mile!»

Połaniecki zaś z Maszką wynieśli się zwolna do przyległego saloniku i rozmawiali o testamentie panny Płoszowskiej.

— Mogę ci powiedzieć, żem prawie wypłynął — mówił Maszko. — Byłem niemal nad przepaścią, ale ta sprawa postawiła mnie na nogi, przez to samo, żem ją zaczął. Bo też od lat całych nie było podobnej. Tu chodzi o miliony. Płoszowski, sam przez się, bogatszy był od ciotki — i zanim sobie w łeb strzelił, zapisał majątek matce pani Kromickiej, a gdy ta go nie przyjęła, cała fortuna przeszła na starą pannę Płoszowską. Rozumiesz teraz, ile babulka musiała zostawić.

— Bigiel wspominał o siedmiuset tysiącach rubli.

— Powiedzże twemu Bigielowi, skoro tak lubi liczyć, że jest przeszło dwa razy tyle. No, muszę sobie jednak oddać tę sprawiedliwość, że się umiem ratować, i że łatwiej mnie wrzucić do wody, niż utopić. Ale co ci osobliwego powiem: wiesz, komu to zawdzięczam? — twemu teściowi. On mi niegdyś o tem wspominał, ale zrazu machnąłem ręką. Potem wpadłem w te tarapaty, o których ci pisałem. Miałem nóż na gardle. Otóż trzy tygodnie temu spotykam wy-

padkiem twego teścia, który mi, między innymi, zaczyna mówić o pannie Płoszowskiej i wymyśla na nią, ile wlezie. Nagle uderzyłem się w czoło. Co mam do stracenia? Nic. Kazalem regentowi Wyszyńskiemu pokazać sobie testament — i widzę, że nieformalności są. Małe, ale są. W tydzień miałem już plenipotencycę od spadkobierców i rozpocząłem sprawę. I co powiesz? Na samą wieść o honorarium, jakie mam dostać w razie wygranej, wróciła ludziom ufność, wróciła moim wierzytelom cierpliwość, wrócił kredyt — i trzyma się... Pamiętasz? był czas, żem spuścił z tonu, że mi po głowie chodziły siełankowe zamiary wyrobienia się mrówczą pracą, ograniczeniem życia. Głupstwo! To trudno, mój kochany! Tyś mi zarzucał, że *udaję*, ale u nas trzeba. Ja muszę dziś udawać człowieka, który jest zarówno pewny swego majątku, jak i wygranej!

— Powiedz mi otwarcie, czy to jest dobra sprawa?

— Jakto czy dobra?

— Poprostu, czy nie zbyt ją trzeba będzie ciągnąć za uszy, przeciw słuszności?

— Wiedz o tem, że w każdej sprawie jest coś do powiedzenia na jej korzyść, i uczciwość adwokacka polega właśnie na tem, żeby to powiedzieć. Właściwie tu jest kwestya, kto ma

być spadkobiercą, i czy testament jest tak napisany, żeby się mógł ostać wobec prawa — a prawo nie ja wymyśliłem.

— Masz widoki wygranej?

— Gdy chodzi o zwalenie testamentu, niemal zawsze się je ma, dlatego, że atak jest zawsze prowadzony sto razy energiczniej, niż obrona. Kto się będzie przeciw mnie bronil? Instytucye, to jest ciała same przez się ociężałe, mało zaradne, których przedstawiciele nie mają w obronie żadnego osobistego interesu. Wezmą adwokata, dobrze! ale co mu dadzą? co mogą dać? Tyle, ile z prawa wypada. Otóż i ten adwokat będzie miał raczej większe widoki zysku w razie, jeśli ja wygram — bo to może zależeć od osobistego mego z nim układu. Wogóle powiem ci, że w sprawach sądowych, tak jak i w życiu, wygrywa ta strona, która bardziej chce wygrać.

— Ale opinia publiczna zmiele cię na otręby, jeśli poobalasz takie zapisy. Widzisz! moja żona jest poniekąd interesowaną...

— Jakto: poniekąd? — przerwał Maszko. — Będę waszym prawdziwym dobroczyńcą.

— Więc dobrze. Otóż żona moja oburzała się i oburza na całą tę sprawę.

— Żona twoja jest wyjątkiem.

— Niezupełnie. Bo i mnie to nie w smak.

— Cóż to? Przerobili i ciebie na romantyka?

— Mój drogi! my się z dawna znamy. Mów tym językiem do kogo innego.

— Dobrze. Będę więc mówił tylko o opinii. Naprzód powiem ci, że pewna niepopularność człowiekowi prawdziwie «comme il faut» raczej pomaga, niż szkodzi. Powtóre, trzeba te rzeczy rozumieć. Zmielonoby mnie, jak się wyraziłeś, na otręby, gdybym tę sprawę przegrał, ale gdy ją wygram, będę tylko uważany za tęgą głowę — a ja ją wygram!

Po chwili zaś mówił dalej:

— A ze stanowiska ekonomicznego, o co tu chodzi? Pieniądze zostaną w kraju, i dalibóg, nie wiem, czy będą gorzej użyte. Bo, że mogłoby się za nie wyhodować kilkanaścioro chuderlawych dzieci, które wyrosną na niedołęgów i będą się przyczyniały do skarlenia rasy, albo że kilkanaście szwaczek mogłoby dostać maszyny do szycia, albo że kilkadziesiąt bab lub dziadów mogłoby żyć o parę lat dłużej, to krajowi niewiele z tego przyjdzie. To są cele nieprodukcyjne. Trzeba, żebyśmy się raz nauczyli ekonomii... Wreszcie krótko powiem: miałem nóż na gardle. Moim pierwszym obowiązkiem jest zabezpieczyć byt sobie, mojej żonie i mojej przyszłej rodzinie. Jeśli kiedykolwiek będziesz w takim położeniu, jak ja byłem — to mnie

zrozumiesz. Wolalem wypłynąć, niż utonąć -- a takie prawo każdy ma. Żona moja, jak ci pisałem, ma znaczną rentę, ale majątku prawie nic, a przynajmniej niewiele. Do tego z tej renty płaci jeszcze coś swemu ojcu. Tę pensję powiększyłem, bo mi groził, że tu zjedzie, a te-
gom sobie nie życzył.

— Tak więc wiesz już teraz na pewno, że pan Krasławski istnieje? Pamiętam, żeś mi o tem wspominał.

— Właśnie dlatego, że ci niegdyś wspominałem, nie robię z tego tajemnicy i dziś. Zresztą wiem, że ludzie gadają o tem z krzywdą mojej teściowej i mojej żony, że rozpowiadają Bóg wie co, więc, jako przyjacielowi, wolę ci powiedzieć, jak jest. Pan Krasławski żyje w Bordeaux; był pośrednikiem w handlu sardynkami i zarabiał dobre pieniądze, ale posadę tę stracił, bo się zapijał i zapija absyntem, a prócz tego stworzył sobie nielegalną rodzinę. Te panie posyłają mu trzy tysiące franków rocznie, ale mu to nie wystarcza, i między ratą a ratą gniecie go bieda, wskutek czego zapija się coraz bardziej i gnębi te biedne kobiety listami, w których grozi, że ogłosi w pismach, jak się z nim obchodzą. A one obchodzą się z nim lepiej, niż wart. Pisał i do mnie zaraz po ślubie, prosząc o podniesienie pensyi o tysiąc franków. Oczy-

wiecie, dowodzi mi, że go te kobiety «zjadły», że nie miał za grosz szczęścia w życiu, że stoczył go ich egoizm — i ostrzega mnie przed niemi...

Tu Maszko począł się śmiać:

— A ma bestya fantazyę szlachecką. Raz z biedy chciał się wziąć do sprzedawania afiszów na korytarzu teatralnym — ale kazali mu się ubrać w jakiś kaszkiet, i tego nie mógł przynieść. Piszę do mnie tak: «Wszystkoby, panie, dobrze poszło, ale kaszkiet!! jak mi dali kaszkiet — nie mogłem!...» I wolął z głodu umrzeć, niż włożyć kaszkiet! Podobą mi się mój teść! Byłem niegdyś w Bordeaux, ale dalibóg zapomniałem, jakie kaszkiety noszą ci, co sprzedają afisze, a chciałbym taki kaszkiet widzieć... Rozumiesz zresztą, że wolalem dodać tysiąc franków, byle go trzymać z daleka, razem z jego absyntem i kaszkietem... Co mnie boli, to to, że ludzie mówią, że on i tu był jakimś woźnym, czy pisarzem, a to jest podła potwarz, bo dość otworzyć pierwszy lepszy herbarz, żeby wiedzieć, kto byli Krasławscy. Tu koligacye są wiadome, i Krasławskim ich nie brak. Człowiek upadł — ale rodzina była i jest znakomita. Te panie mają tu na tuziny krewnych nie bylejakich — i jeśli ci całą tę historję opowiadam,

to dlatego, że chcę, byś wiedział, jaka jest prawda.

Ale prawda, dotycząca rodu Krasławskich, mało obchodziła Polanieckiego, więc wrócili do pań, tembardziej, że tymczasem nadszedł Zawilowski, którego Polaniecki zaprosił na poobiednią herbatę, aby mu pokazać fotografie, przywieszone z Włoch. Jakoż całe ich zwoje leżały już przygotowane na stole, ale Zawilowski trzymał w ręku ramkę z główką Litki i zachwycał się tak, że zaraz po zapoznaniu się z Maszką, znów począł patrzeć na portrecik i mówić o nim w dalszym ciągu.

— Myślalbym prędzej, że to jakiś pomysł artystyczny, — rzekł — niż portret żywego dziecka. Co za cudna główka i co za wyraz! To pani siostrzyczka?

— Nie — odpowiedziała pani Polaniecka; — i to jest dziecko, które już nie żyje!

W oczach Zawilowskiego, jako poety, ów tragiczny cień podniósł jeszcze współczucie i podziw dla tej istotnie anielskiej twarzy. Przez jakiś czas przypatrywał się jej w milczeniu, to odsuwając, to zbliżając do oczu fotografię, poczem rzekł:

— Ja się dlatego pytałem, czy to nie pani siostra, bo jednak jest coś... w rysach, raczej w oczach... doprawdy coś jest!

Zawiłowski zdawał się szczerze mówić, ale Polaniecki miał taką, religijną niemal, cześć dla zmarłej, że mimo całego uznania dla urody Maryni, porównanie wydało mu się jakimś rodzajem profanacyi, więc, wyjąwszy fotografię z rąk Zawiłowskiego, ustawił ją napowrót i począł mówić z pewną szorstką żywością:

— Ale bynajmniej! bynajmniej! Niema jednego rysu wspólnego. Jak można porównywać! Ani jednego rysu wspólnego!

A Marynię dotknęła nieco ta jego żywość.

— Ja także jestem tego zdania — odrzekła. Lecz jemu nie dość było jej zdania.

— Czy pani знаła Litkę? — spytał, zwróciwszy się do pani Maszkowej.

— Tak!

— Prawda! widziała ją pani u Bigielów.

— Tak.

— No, przecie niema śladu podobieństwa?

— Nie.

Zawiłowski, który adorował szczerze panią Polaniecką, począł patrzeć na Polanieckiego z pewnem zdziwieniem — on jednak spoglądał teraz na wydłużoną postać pani Maszkowej, rysującą się przez popielatą suknię — i myślał:

— Jaka ona zgrabna!

Po chwili Maszkowie poczęli się żegnać.

Maszko, całując na odchodnem rękę pani Połanieckiej, rzekł:

— Mnie może wypadnie wkrótce wyjechać do Petersburga; niech pani pamięta trochę przez ten czas o mojej żonie.

W czasie herbaty, Marynia przypomniwała Zawilowskiemu obietnicę, jaką jej uczynił za pierwszą bytnością, że jej przyniesie i odczyta waryant wiersza: «Na progu» — on zaś tak przygnał odrazu do Połanieckich, że odczytał nie tylko waryant, ale i drugi wiersz, który był poprzednio napisał. Znać było po nim, że sam dziwi się własnej odwadze i ochocie — to też po odczytaniu i wysłuchaniu pochwał, które były naprawdę szczere, rzekł:

— Ja równie szczerze mówię, że z państwem, za trzeciem widzeniem się, to się tak jakoś jest, jakby się oddawna znało. Aż mi to dziwne.

Połaniecki przypomniwał sobie, że niegdyś powiedział coś podobnego Maryni w Krzemieniu — ale przyjął to teraz, jakby należało się i jemu.

Zawilowski zaś ją wyłącznie miał na myśli: poprostu zachwycił ją i swoją prostą dobrocią i twarzą.

Gdy odszedł, Połaniecki rzekł:

— To bestya naprawdę zdolna. Czyś ty uważała, że on jakby się trochę zmienił na twarzy?

— Przystrzygł włosy — rzekła Marynia.

— Aha! i broda jeszcze więcej mu wystaje.

To mówiąc, Polaniecki wstał i począł układać zwoje fotografii na półeczce nad stołem, wreszcie zabrał portret Litki i rzekł:

— Przeniosę ją do mego gabinetu.

— A tam masz tę z brzózkami, kolorowaną.

— Tak, ale nie chcę, żeby i ta stała tu, tak na widoku. Każdy robi uwagi, a czasem mnie to gniewa. Pozwolisz?

— Dobrze, mój Stachu — odpowiedziała Marynia.

XXXIX.

Bigiel usilnie namawiał Polanieckiego, by nie związać Domu i nie rzucać się zbyt pośpiesznie w innego rodzaju przedsiębiorstwa. «Stworzyliśmy uczciwy kupiecki dom, — mówił — jakich u nas mało, i dlatego jesteśmy pożyteczni». Utrzymywał, że przez samą wdzięczność należy prowadzić dalej interes, za pomocą którego podwoili niemal majątki, przyczem wypowiadał przekonanie, iż okażą największy rozum, gdy teraz właśnie będą prowadzili rzecz ostrożnie, gruntownie, i gdy pierwsza śmiała spekulacya, jakkolwiek szczęśliwa, nietylko nie zachęci ich

do innych, ale będzie ostatnią. Połaniecki zgadzał się na to, że umiarkowanie trzeba okazać właśnie w powodzeniu, ale narzekał, iż w Domu nie może się pomieścić i pragnąłby coś produkować. Miał on tyle zmysłu praktycznego, że o fabryce na własną rękę jeszcze nie myślał. «Małej nie chcę prowadzić, — mówił — bo mnie wielkie, produkujące *en gros*, pochłona, a na wielką nie mam, w akcyjnej zaś pracowałbym nie na siebie, ale na innych». Rozumiał też, że o akcyonaryuszów, złożonych z miejscowych żywiolów, nie łatwo, a obcych nie chciał, wiedząc przytem, że nie potrafi wzbudzić w nich zaufania, i że samo jego nazwisko będzie mu w tem przeszkodą. Bigiel, któremu chodziło o «Dom», szczerze rad był z tej trzeźwości poglądu.

W Połanieckim zaś zbudziła się jeszcze inna chęć, mianowicie odwieczna, stara jak ludzkość, chęć posiadania. Po szczęśliwej spekulacyi i po zapisie Bukackiego, stał się on człowiekiem zupełnie zamożnym, ale przy całej swej istotnej trzeźwości, miał jakieś dziwne poczucie, że ta zamożność, polegająca choćby na najpewniejszych, zamkniętych w kasie ogniotrwałej papierach, jest również papierową i pozostanie nią dopóty, dopóki nie będzie posiadał czegoś realnego, o czemby mógł powiedzieć: «To moje!»

Ta dziwna żądza ogarniała go coraz silniej. Nie chodziło mu o nic wielkiego, ale o jakikolwiek kąć, byle własny, gdzieby mógł czuć się u siebie. Próbował nad tem filozofować i tłumaczył Bigielowi, że ta chęć posiadania musi być jakąś namiętnością wrodzoną, którą można potłumić, ale która w wieku dojrzałym odzywa się z nową siłą. Bigiel uznawał, że tak może być, i mówił mu:

— To i słuszne. Jesteś żonaty, więc chcesz mieć własne, nie zaś najęte ognisko, a że masz po temu wszelkie środki, więc sobie takie ognisko stwórz.

Polaniecki myślał czas jakiś o wybudowaniu dużego domu w mieście, któryby czynił zadość chęci posiadania i zarazem przynosił dochody. Ale któregoś dnia spostrzegł, że ten praktyczny zamiar ma jedną złą stronę — mianowicie nie posiada żadnego wdzięku. Coś, o czem się mówi: «To moje» — trzeba lubić, a jak tu lubić kamienicę, w której mieszka każdy, kto najmie mieszkanie? Z początku wstydział się tej myśli, bo mu się wydała romantyczną, ale potem powiedział sobie: «Nie! skoro posiadam środki, przeto użycie ich w ten sposób, któryby mi zapewnił przyjemność, nietylko nie jest romantyzmem, ale dowodem rozsądku». Bardziej poczęła go pociągać myśl o jakimś mniejszym

domu w mieście, lub za miastem, o takim, w którymby sam tylko z żoną mieszkał. Ale chciało mu się przytem choć kawałek ziemi, na którejby coś rosło. Czuł, że naprzykład widok drzew, któreby rosły w jego ogrodzie, przed jego domem, na jego gruncie, sprawiałby mu wielką przyjemność. Sam się dziwił, że tak jest, ale tak było. W końcu doszedł do przekonania, że najmilej byłoby mu posiadać jakąś kolonijkę tuż pod miastem, coś w rodzaju takiego letniego domu, jaki posiadał Bigiel, ale z kawałkiem ziemi, kawałkiem lasu, jakimiś kilku morgami warzywnego ogrodu, wreszcie z sadem i z bocianiem gniazdem gdzieś na starej lipie.

— Skoro na to mam, to wolę, żeby to było takie, niż inne, to jest ładne, nie brzydkie — mówił sobie.

I począł rzecz rozważać ze wszystkich stron. Rozumiał, że gdy chodzi o gniazdo, w którym się ma mieszkać przez resztę życia, trzeba wybrać rozważnie, więc nie śpieszył się. Tymczasem myślenie o tem zajęło mu wszystkie godziny wolne od pracy biurowej i sprawiało mu rzetelną przyjemność. Ci i owi dowiedzieli się wkrótce, że Polaniecki szuka czegoś za gotowy grosz, nadeszły więc z różnych stron propozycje, często dziwaczne, ale niekiedy dość poważne. Trzeba było czasem jeździć, oglądać wille,

położone w mieście lub za miastem. Często, po powrocie z biura, i po obiedzie, Polaniecki zamykał się z listami, z planami i pokazywał się dopiero wieczorem. Marynia miała wówczas dużo wolnego czasu. Spostrzegła wreszcie, że coś zajmuje go niezwykle, i próbowała dopytywać, lecz on odpowiedział:

— Moje dziecko, jak będzie rezultat, to ci powiem, ale póki sam nic nie wiem, trudno, żebym się rozgadywał o niczem. To takie przeciwne mojej naturze.

Dowiedziała się wreszcie o co chodzi od pani Bigielowej, ta zaś wiedziała od męża, którego naturze nie było przeciwnem rozgadywać się z żoną o wszelkich przedsięwzięciach i zamiarach na przyszłość. Dla pani Polanieckiej byłoby również ogromną przyjemnością rozmawiać z mężem o wszystkim, a zwłaszcza o wyborze gniazda. Oczy śmiały jej się na samą myśl o tem, ale skoro «usposobienie Stacha» stało temu na przeszkodzie, więc wołała nie dopytywać przez delikatność.

On zaś nie miał złych chęci, ale wprost nie przyszło mu do głowy wtajemniczać jej w jakiegokolwiek sprawy, w których chodziło o pieniądze. Może byłoby inaczej, gdyby mu była wniosła znaczny posag, i gdyby zmuszony był rozporządzać i jej majątkiem: był człowiekiem

w takich razach nader skrupulatnym. Ale ponieważ rozporządzał tylko swoim, nie czuł, tak jak i za dawnych kawalerskich czasów, żadnej potrzeby spowiadania się z tego, póty szczególnie, póki nie było postanowione. Z Bigielem jednym rozmawiał, dlatego, że przywykł z nim rozmawiać o interesach.

Z żoną mówił o takich rzeczach, które podług niego »do niej należały» — więc między innymi o kółku znajomych, które należało sobie stworzyć. Pod koniec swego kawalerstwa Polaniecki nie bywał prawie nigdzie — czuł jednak, że obecnie nie może tak być. Oddali więc wizytę Maszkom i któregoś wieczoru poczęli rozważać, czy wypada im być u Osnowskich, którzy w tym czasie wrócili z za granicy i mieli do połowy czerwca zostać w Warszawie. Marynia mówiła, że wypada, dlatego, że się będą widywali u pani Maszkowej, i miała ochotę, albowiem lubiła pana Osnowskiego, który ją wzruszał. Polaniecki okazał mniej chęci, i początkowo stanęło na tem, czego chciał, ale w kilka dni później Osnowscy spotkali Marynię i powitali ją tak serdecznie, pani Osnowska powtarzała tak często: «my, Rzymianki», oboje zaś kładli taki nacisk na nadzieję widywania i spotkania się, że niepodobna było unikać złozenia im wizyty.

Jednak gdy Polanieccy przybyli w odwiedziny, wszelkie uprzejmości okazywano przede wszystkim Maryni. Mąż prześcigał się pod tym względem w grzecznościach z żoną. Dla Połanieckiego byli, jako ludzie dobrze wychowani, równie uprzejmi bez zarzutu, ale zimniej. On rozumiał, że Marynia gra pierwszą, on zaś dopiero następną rolę, i trochę go to jednak drażniło. Pan Osnowski zresztą nie potrzebował się wysilać na grzeczności dla pani Połanieckiej, albowiem czując, że ona ma dla niego szczerą sympatyę, odplacał jej z nawiązką, gdyż mu tego wogóle brakło.

Maryni wydał się jeszcze bardziej zakochany w żonie, niż był poprzednio. Wprost znać było, że serce mu bije żywiej, gdy na nią patrzy. Mówiąc do niej, zdawał się podsuwać wyrazy, jakby z pewną obawą, by jej czemkolwiek nie zrazić. Połaniecki patrzył na niego z pewnem politowaniem, ale było to zarazem i wzruszające. W walce z otyłością natomiast pan Osnowski odniósł tak walne zwycięstwo, że ubranie wydawało się na nim za szerokie. Czerwone wyrzuty, które okrywały jego twarz blondyna, znikły i wogóle był przystojniejszy, niż przedtem.

A pani miała zawsze swoje nieporównane skośne oczy koloru fiołków i myśli, które, jak rajskie ptaki, ciągle bujały w powietrzu.

Ale Połanieccy zrobili u Osnowskich nową znajomość, mianowicie poznali panią Broniczową i jej siostrzenicę, pannę Castelli, które przybyły na «letni karnawał» do Warszawy i zamieszkały w tej samej willi, którą nieboszczyk Bronicz sprzedał Osnowskim, z wymówieniem jednego pawilonu dla żony. Pani Broniczowa była wdową po panu Broniczu, o którym wspominała, jako o ostatnim krewnym książąt Ostrogskich, zatem ostatnim z Rurykowiczów. Znano ją także w mieście pod nazwą «Słodyczki»; przezwisko to zawdzięczała temu, że, mówiąc, zwłaszcza do osób, o które jej chodziło, przy-milała się tak, iż zdawać się mogło, że mówi przez trzymany w ustach kawalek cukru. Opo-wiadano dziwy o jej kłamstwach. Panna Castelli była córką jej siostry, która w swoim czasie, ku wielkiemu zgorszeniu rodziny i świata, wyszła za Włocha, nauczyciela muzyki i zmarła przy słabości, pozostawiając córkę. Gdy w rok potem i pan Castelli utopił się na Lido, pani Broniczowa wzięła i wychowała siostrzenicę.

Panna Lineta była prawie zupełną pięknoscią, o rysach bardzo regularnych, czarnych oczach, złotawych włosach i cerze aż zbyt pięknej, bo niemal porcelanowej. Miała jednak przyciężkie powieki, co jej nadawało senny wyraz, ale ta senność mogła się wydawać także

skupieniem. Można było mniemać, że to jest istota, która żyła bardzo rozwiniętem życiem wewnętrznem, i dlatego zachowuje się nieco obojętnie względem tego, co ją otacza. Ktoby zresztą sam nie wpadł na ów domysł, mógł być pewien, że mu pani Broniczowa do tego dopomoże. Pani Osnowska, która przechodziła przez okresy zachwyty nad kuzynką, mówiła o oczach panny Linety, że są «głębokie jak jeziora», kwestyą było tylko, co jest na dnie, ale właśnie ta tajemnica dodawała pannie Linecie uroku.

Państwo Osnowscy przyjechali z zamiarem bawienia się w Warszawie, ale pani Aneta nie napróżno była w Rzymie. «Sztuka i sztuka! — mówiła do pani Polanieckiej — o niczem więcej nie chcę wiedzieć». Zamiarem jej jawnym było otworzyć salon «ateński», a skrytym zostać Beatryczą jakiegoś Danta, Laurą jakiegoś Petrarcki, lub przynajmniej czemś w rodzaju Vittorii Colonna dla jakiegoś Michała Anioła.

— Mamy ładny ogród przy willi, — mówiła — wieczory będą śliczne, i będziemy się schodzili na takie pogadanki rzymskie, florenckie... Pani wie (tu podniosła do poziomu z ramionami dłonie i poczęła niemi poruszać), szara godzina, trochę zorzy, trochę księżycy, kilka lamp, trochę cieniów od drzew: siedzi się i rozmawia półgłosem o wszystkim: o życiu, uczuciach,

o sztuce. Przecie to doprawdy więcej warte, niż plotki! Mój Józiu, może się będziesz nudził, ale nie gniewaj się, zrób to dla mnie, i wierz mi, że to będzie bardzo ładne.

— Ale, moja Anetko, czy mnie to może nudzić, co ciebie bawi? — odpowiedział Osnowski.

— Teraz zwłaszcza, póki Lineta jest z nami, to przecie artystka w każdej kropli krwi!

Tu zwróciła się do niej:

— Jaką tam niteczkę przedzie ta główka? Co mówisz o takich wieczorach rzymskich?

Panna Lineta uśmiechnęła się, a «ostatnia z Rurykowiczów» poczęła mówić z wyrazem nieopisanej słodyczy do Połanieckich:

— Państwo nie wiedzą, że ją Wiktor Hugo błogosławił, gdy była jeszcze mała.

— To panie znały Wiktora Hugo? — spytała Marynia.

— My? nie! Nie byłabym chciała go znać za nic w świecie, ale raz przejeżdżamy przez Passy, gdy on stał na balkonie, i — nie wiem, czy przez jakieś przeczucie, czy przez natchnienie, jak zobaczył Linetkę, tak podniósł rękę i przeżegnał ją.

— Ciociu! — rzekła panna Castelli.

— Kiedy prawda, moje dziecko, a co prawda, to prawda! Zaraz na nią zawołałam: «Patrz! patrz! podnosi rękę» — i pan Cardyn, konsul, który sie-

dział na przodzie, widział także, że on podniósł rękę, a potem przeżegnał cię. Owszem, ja to chętnie opowiadam, bo może za to przeżegnanie Pan Bóg odpuścił mu jego grzechy, których miał tyle. On, taki przewrotny umysł, a jednak, zobaczywszy Linetkę, przeżegnał ją!

Było w tem tyle prawdy, że panie te, przejeżdżając przez Passy, istotnie widziały na balkonie Wiktora Hugo. Co do błogosławieństwa, jakiego miał udzielić Linetce, złe języki warszawskie dowodziły, że podniósł rękę, albowiem w tej chwili ziewał.

Lecz tymczasem pani Osnowska mówiła dalej:

— Stworzymy tu sobie małe Włochy, a jeśli się próba nie uda, to na przyszłą zimy ucieknemy do wielkich. Już mi to chodziło po głowie, żeby otworzyć w Rzymie dom. Tymczasem Józio przywiózł kilka ładnych kopii obrazów i posągów. To tak pocziwie z jego strony, bo jego to niewiele obchodzi, więc zrobił to tylko dla mnie. Są tam bardzo dobre rzeczy, bo Józio miał ten rozum, że sobie nie ufał i prosił o pomoc pana Świrskiego. Szkoda, że go tu niema. Szkoda także, że pan Bukacki jak na złość umarł, bo i onby się nam przydał. Czasem bywał bardzo miły. Miał taką jakąś giętkość, jak wąż, a to w rozmowie dodaje życia. Ale — tu zwróciła się do pani Połanieckiej — czy pani

wie, że pani całkiem podbiła pana Swirskiego? Po pani wyjeździe o nikim innym nie mówił, i zaczął Madonnę, która ma pani rysy. Zostanie pani Fornariną! Pani ma widocznie szczęście do artystów — i jak się moje wieczory florenckie zaczną, musimy się trzymać z Linetą, inaczej pójdziemy w ką!ł

A pani Broniczowa, rzuciwszy niechętne spojrzenie Maryni, rzekła:

— Ach, pan Świrski! Pamiętasz, Linetko?... Ale jeśli chodzi o twarze, które robią wrażenie na artystów, to powiem państwu, co się raz zdarzyło w Nizy...

— Ciociu!... — przerwała panna Castelli.

— A kiedy prawda, moja Niteczko, a co prawda, to prawda... Rok temu... Nie! dwa lata temu... Jak to ten czas leci...

Lecz pani Osnowska, która zapewne słyszała już nieraz co się zdarzyło w Nizy, zaczęła wypytywać pani Połanieckiej:

— A państwo dużo mają znajomości w świecie artystycznym?

— Mąż mój, zapewne — odpowiedziała Marynia; — ja nie; ale znamy pana Zawilowskiego.

Pani Osnowska wpadła na tę wiadomość w prawdziwy entuzjazm. Jej marzenie było poznać pana Zawilowskiego, i niech Józio powie,

czy to nie było jej marzenie? Niedawno czytały z Linetą jego wiersz pod tytułem: «Ex imo» — i Lineta, która czasem tak umie jednym słowem określić wrażenie, jak nikt inny, powiedziała... Co to ona takiego charakterystycznego powiedziała?...

— Że w tem jest coś śpiżowego — poddała pani Broniczowa.

— A tak, że w tem jest coś śpiżowego. Ja sobie wyobrażam pana Zawilowskiego także, jak jakiś odlew. Jak on naprawdę wygląda?

— Nizki, — odrzekł Polaniecki — gruby, lat pięćdziesiąt i żadnego włosa na głowie.

Na to twarze pani Osnowskiej i panny Linety przybrały taki wyraz rozczarowania, że Marynia poczęła się śmiać i odrzekła:

— Niech panie mu nie wierzą, to zły człowiek i lubi martwić. Pan Zawilowski jest młody, trochę dziki i trochę podobny do Wagnera.

— To znaczy, że ma brodę, jak poliszynel — dodał Polaniecki.

Lecz pani Osnowska nie brała już w uwagę słów Polanieckiego i wymogła na Maryni, że ułatwi jej poznanie z panem Zawilowskim — i to prędko, «bardzo prędko, bo lato za pasem!»

— Postaramy się przytem, żeby mu było dobrze między nami, i żeby nie był dziki — choć, jeśli jest trochę dziki, to nic nie szkodzi,

bo on powinien być trochę dziki i trochę najeżać się, gdy ludzie się do niego zbliżają... jak orzeł w klatce! Zresztą porozumieją się z Linetką, bo i ona zamknięta w sobie i tajemnicza jak Sfinks.

— Mnie się zdaje, że każda niepospolita dusza... — zaczęła ciocia «Ślodyczka».

Lecz Polanieccy poczuli się żegnać. W sieni spotkali cudnego Kopowskiego, któremu służący okurzał trzewiki, a który tymczasem przeczesywał swą posągową i twardą jak marmur głowę. Wyszedłszy, Polaniecki rzekł:

— Ten im się także przyda na «floreńskie» wieczory. To także Sfinks!

— Gdyby stał w niszy! — rzekła Marynia. — Jakie to jednak ładne kobiety!

— Dziwna rzecz — odpowiedział Polaniecki. — Niby pani Osnowska jest ładna, a ja wolę, jako urodę, panią Maszkową. Co do Castelli, to naprawdę ładna, choć za wysoka. Czyś ty uważała, że się tam ciągle o niej mówi, a ona ani mru-mru.

— Ma opinię bardzo inteligentnej, — odpowiedziała Marynia — ale może trochę nieśmiała, jak Zawilowski. Trzeba będzie pomyśleć o tem poznaniu.

Ale tymczasem wypadek pomieszał plany poznania. Pani Polaniecka, na drugi dzień po

wizycie, poślizgnąwszy się na schodach, zbiła kolano tak silnie, że przez kilka dni musiała leżeć w łóżku. On, wróciwszy z biura i dowiedziawszy się co zaszło, naprzód przestraszył się, następnie, uspokojony przez lekarza, zburczał żonę dość żywo:

— Powinnaś pamiętać, że tu może nietylko o ciebie chodzi! — rzekł jej.

Ona cierpiała dość mocno i z powodu uderzenia, i z powodu tych słów, które wydały się jej jakieś nadto bezwzględne, sądziła bowiem, że jemu powinno przedewszystkiem o nią chodzić, zwłaszcza, że inne obawy nie były jeszcze na niczem oparte. Poza tem jednak okazał jej wielką troskliwość, i ani nazajutrz, ani następnego dnia, nie poszedł do biura, by jej pilnować. W godzinach przedpołudniowych czytywał jej, po śniadaniu zaś pracował w przyległym pokoju, przy otwartych drzwiach, tak, aby go mogła w każdej chwili zawołać. Ona, przejednana tą troskliwością, dziękowała mu za nią bardzo gorąco, wskutek czego ucałował ją i rzekł:

— Moje dziecko, to przecie prosty obowiązek. Widzisz, że nawet i obcy dowiadują się o ciebie codziennie.

Obcy rzeczywiście dowiadawali się codziennie. Zawilowski wypytywał w biurze: «jak się

pani ma?» Bigielowa przychodziła po południu, a Bigiel wieczorem, i nie wchodząc do pokoju chorej, wygrywał w przyległym na fortepianie, by ją rozerwać. Państwo Maszkowie i pani Broniczowa zostawili dwukrotnie karty wizytowe, pani Osnowska zaś, zostawiwszy męża w powozie na dole, wdarła się do Maryni trochę przemocą i siedziała u niej koło dwóch godzin, rozmawiając ze zwykłym sobie darem przerzucania się z przedmiotu na przedmiot, o Rzymie, swoich zamierzonych wieczorach, o Świrskim, mężu, o Linecie i o Zawilowskim, który jej spać nie dawał. Pod koniec odwiedzin oświadczyła pani Połanieckiej, że powinny sobie mówić «ty» — i że wzywa ją, by jej pomogła w jednym planie: «to jest nie w planie, ale w spisku», czyli raczej w czemś takim, co jak jej wpadło do głowy, tak się pali i pali, do tego stopnia, że cała głowa się pali!

— Tak mi utkwiał w myśli ten Zawilowski, że aż Józio począł być o niego zazdrosny, ale Józio z tylu rzeczy, biedaczysko, nie umie sobie zdać sprawy! Ja jestem pewna, że oni z Linetą są dla siebie stworzeni, to jest, nie Józio z Linetą, ale Zawilowski. I to poezya, i to poezya! Nie śmieję się, Maryniu, i nie myśl, że ja jestem postrzelona. Ty Linety nie znasz. Jej trzeba jakiego nadzwyczajnego człowieka. Ona

za takiego Kopowskiego za nic w świecieby nie wyszła, choć Kopowski wygląda jak cherubin. Takiej twarzy, jak ma Kopowski, nigdy w życiu nie widziałam... Może we Włoszech na jakim obrazie, ale i to nie. A wiesz, co Lineta o nim mówi: «C'est un imbécile!» Może, ale jednak i ona na niego patrzy! Pomyśl, jakby to ślicznie było, żeby oni się poznali, pokochali i pobrali — to jest, nie Kopowski z Linetą, ale Zawilowski! To dopiero byłaby para! A Lineta ze swojemi aspiracyami, kogo ona znajdzie? Gdzie dla niej jest mąż? A cobyśmy się napatrzyły, tobyśmy się napatrzyły! Wyobrażam sobie, jakby się oni kochali. Na świecie tak nudno, że jak można mieć taki widok, to warto popracować. Zresztą wiem, że to nie pójdzie trudno, bo i ciocia Broniczowa ręce łamie, gdzie ona znajdzie męża dla Linety. Boję się, czym cię nie zmęczyła, ale to tak miło pogadać, zwłaszcza, gdy się coś układa.

Rzeczywiście, po wyjściu pani Osnowskiej, Marynia czuła jakby zawrót głowy. Jednakże, gdy Połaniecki nadszedł, poczęła mu opowiadać o przygotowanych na Zawilowskiego planach, trochę się śmiejąc z zapału pani Osnowskiej, a wreszcie rzekła:

— Ona musi mieć dobre serce i podoba mi

się, ale jaka egzaltowana! Co jej przez głowę nie przechodzi!

— Raczej narwana, niż egzaltowana, — odpowiedział Połaniecki — a to, widzisz, jest różnica, bo egzaltacya idzie niemal zawsze w parze z dobrem sercem, a narwanie często godzi się z oschłością serca i często nawet wypływa z tego, że głowa się pali, a serce śpi.

— Ty nie lubisz pani Osnowskiej — rzekła Marynia.

Połaniecki nie lubił jej istotnie, ale tym razem, zamiast potwierdzić lub zaprzeczyć, począł na żonę spoglądać z pewną ciekawością. Uderzyła go w tej chwili jej piękność. Włosy jej rozplynęły się w nieładzie po poduszce, i drobna jej twarz wychylała się z tej ciemnej fali poprostu jak kwiat. Oczy jej wydawały się błękitniejsze, niż zwykle, przez rozchylone usta widać było brzeżek drobnych i białych zębów. Połaniecki zbliżył się do niej i rzekł półgłosem:

— Jakaś ty dziś ładna!

I pochyliwszy się nad nią, ze zmienioną twarzą, począł całować jej oczy i usta.

Lecz każdy pocałunek wstrząsał nią, a każde wstrząśnięcie sprawiało jej ból. Prócz tego przykro jej było, że on jakby tylko wypadkiem spostrzegł jej piękność, przykrym był dla niej jego

wyraz twarzy i jego nieuwaga, więc poczęła odwracać głowę.

— Stasiu! nie całuj mnie tak mocno, wiesz, że jestem cierpiąca.

Wówczas Połaniecki wyprostował się i rzekł z tłumionym gniewem:

— Prawda! przepraszam!

I wyszedł do swego pokoju rozpatrywać plan jakiegoś letniego domu z ogrodem, który mu dzisiejszego rana przysłano.

XI.

Lecz choroba pani Połanieckiej nie trwała długo, i w tydzień później mogli już oboje pojechać do Bigielów, którzy tymczasem przenieśli się na letnie mieszkanie; pogoda bowiem, mimo wczesnej pory, uczyniła się piękna, i w mieście zaczęły się prawie upały. Zawilowski, który był się już oswoił, przyjechał także, wraz z ogromnym latawcem, którego mieli puszczać na wspólną z Połanieckim i dziećmi. Bigielowie polubili Zawilowskiego również, ponieważ był człowiekiem prostym i poza swoją dzikością wesółym, a chwilami nawet dziecinnym. Pani Bigielowa utrzymywała przytem, że ma szcze-

gólną głowę, co było o tyle prawdą, że posiadał bliznę na powiece, i że wystająca broda nadawała mu wyraz energii, której całkowicie przeczyła górna część twarzy, tak delikatna, że prawie kobieca. Z początku pani Bigielowa doszukiwała się w nim oryginała, ale on zbyt uświadamiał wszystko, a zatem i samego siebie, by mógł być oryginałem. Był tylko nierównym przez nieśmiałość, wielkim entuzyastą i człowiekiem nie bez ukrytej pychy.

Przy obiedzie rozpowiadano mu o Osnowskich, o zamierzonych wieczorach ateńsko-rzymsko-florenckich, o pannie Castelli i o ciekawości, jaką w paniach wzbudził.

Usłyszawszy o tem, rzekł:

— No, to dobrze wiedzieć, to nie pójdę tam za nic w świecie.

— Naprzód pozna się pan z niemi u nas — rzekła Marynia.

A on złożył ręce:

— Pani, ucieknę z przedpokoju!

— Dlaczego? — spytał Połaniecki — trzeba mieć odwagę nie tylko swoich przekonań, ale i swoich wierszy.

— A oczywiście — rzekła pani Bigielowa. — Co tu się wstydzić! Powinien pan śmiało ludziom w oczy patrzeć i mówić im: piszę, bo piszę!

— Piszę, bo piszę! — powtórzył rezolutnie Zawilowski, podnosząc głowę i śmiejąc się.

Lecz Marynia mówiła dalej:

— Pozna się pan z niemi u nas, potem złoży im pan kartę, a następnie pojedziemy kiedy do nich wieczorem.

On zaś rzekł:

— Nie mogę schować głowy w śnieg, bo go niema, ale jednak wynajdę sobie jaką kryjówkę.

— A jeśli pana będę bardzo prosiła?

— To pójdę — odpowiedział po chwili Zawilowski, czerwieniąc się zlekka.

I spojrział na nią. Przybladłszy nieco przez dłuższe leżenie w łóżku, twarz jej zdrobniała jeszcze i wyglądała na twarz szesnastoletniej dziewczyny. Zawilowskiemu wydała się tak cudną, że nie mógł jej niczego odmówić.

Wieczorem Połanieccy mieli go zabrać z powrotem do miasta, ale przedtem Marynia rzekła mu:

— Trzeba teraz używać z panem przemocy, bo pan nie widział Linety Castelli, a jak ją pan zobaczy, to się pan zakocha.

— Ja, pani!? — zawołał Zawilowski, przyłożywszy dłoń do piersi. — Ja, w pannie Castelli?

I tyle było szczerości w jego pytaniu, że

znów zmieszal się; ale tym razem zmieszala się również nieco i pani Polaniecka.

Tymczasem Polaniecki skończył z Bigielem rozmowę o niebezpieczeństwach lokaty kapitału w ziemi, i pojechali. Marynia przypomniała sobie, jak niegdyś wracali tak z ojcem, panią Emilią, Litką i Polanieckim od Bigielów, w taką samą miesięczną noc. Jak wówczas ten «pan Stanisław» kochał się w niej i jaki był nieszczęśliwy; jaka ona była dla niego surowa — i serce poczęło jej bić litością dla tego «pana Stanisława», który wówczas tyle wycierpiał. Chciało się jej teraz przytulić do niego i przeprosić za owe dawne złe chwile — i gdyby nie obecność Zawilowskiego, byłaby to uczyniła.

Lecz ów dawny pan Stanisław siedział sobie teraz spokojny i pewny siebie koło niej i palił cygaro. Przecie ona była jego, przecie ją wziął i miał, więc wszystko się skończyło.

— O czem ty tak rozmyślasz, Stachu? — spytała.

— O interesach, o których mówiliśmy z Bigielem.

I otrząsnąwszy popiół z cygara, włożył je do ust i pociągnął tak, że czerwone światelko rozświeciło mu wąsy i część twarzy.

A Zawilowski, patrząc na twarz Maryni, pomyślał w swojej młodej duszy, że gdyby ona

była jego żoną, toby nie palił teraz cygara, ani nie rozmyślał o interesach, o których się mówi z Bigielem, ale chyba klęczałby przed nią i adorował ją na kolanach.

I zwolna, pod wpływem nocy i tej słodkiej twarzy kobiecej, którą uwielbiał, poczęła go ogarniać egzaltacya. Po niejakej chwili jął deklamować, z początku cicho, jakby sam do siebie, a potem coraz głośniej, swój wiersz, pod tytułem «Śniegi w górach». Była w tym wierszu jakby ogromna tęsknota do czegoś niedostępnego i niepokalanego. Zawilowski sam nie wiedział, kiedy znaleźli się w mieście, i kiedy latarnie poczęły migać po obu stronach ulicy.

— Więc pojutrze, na «five o'clock?»

— Tak jest — odpowiedział, całując ją w rękę.

Pani Połaniecka była trochę rozmarzona pod wpływem przejażdżki, nocy, a może i wiersza. Lecz od czasu pobytu w Rzymie, oboje z mężem odmawiali razem pacierz wieczorny. I po tym pacierzu ogarnęła ją nagle wielka tkliwość, jakby przyływ uczucia, pokrytego przez chwilę innemi wrażeniami. Zbliżywszy się, objęła ramionami szyję Połanieckiego i poczęła szeptać:

— Mój Stachu! tak nam jednak z sobą dobrze? Prawda?

On zaś przyciągnął ją do siebie i odpowiedział z pewną niedbałą chępliwością:

— A czy ja się skarżę?

I ani w głowie mu nie powstało, że w pytaniu jej był jakby odcień żalu i zwątpienia, którego nie chciała do duszy dopuścić — i że pragnęła, by ją uspokoił i upewnił.

Nazajutrz Zawilowski oddał w biurze Połanieckiemu wycinek z jakiejś gazety ze «Śniegami w górach». Połaniecki przeczytał go przy obiedzie, ale przy brzęku widelców wiersz wydał się mniej piękny, niż wśród ciszy nocnej, przy świetle księżyca.

— Zawilowski mówił, — rzekł Połaniecki — że wkrótce wyjdzie tom, ale obiecał, że przedtem pozbiera wszystko, co było w różnych pismach, i przyniesie ci.

Marynia zaś odrzekła:

— Nie; trzeba, żeby to zachował dla Linety.

— Ach! jutro się mają spotkać po raz pierwszy. Chcecie koniecznie urządzić epokę w życiu Zawilowskiego?

— Chcemy — odpowiedziała z pewną stanowczością Marynia. — Aneta z początku mnie zdziwiła — ale dlaczegożby nie!

Jakoż spotkanie nastąpiło nazajutrz. Państwo Osnowscy, pani Broniczowa i panna Castelli przyjechali nader punktualnie o piątej,

ale Zawilowski przyszedł jeszcze wcześniej, by uniknąć wchodzenia do salonu przy całym towarzystwie. A i tak był nietylko nastraszony, ale niezgrabniejszy niż zwykle, i nigdy własne nogi nie wydawały mu się tak długie. Była jednak pewna dystynkcyja nawet w jego niezgrabności, i pani Osnowska umiała się na tem poznać. Rozpoczęły się pierwsze sceny komedyi ludzkiej, w których te panie, jako osoby dobrze wychowane, wystrzegając się wszelkiej natarczywości w przypatrywaniu się Zawilowskiemu, nie czyniły jednak nic innego; on zaś, udając, że tego nie widzi, nie myślał jednak o niczem innem, tylko, że mu się przypatrują i że go sądzą. Sprawiało mu to wielki przymus, który starał się pokryć przez sztuczną swobodę, miał bowiem tyle miłości własnej, że mu chodziło o to, by sąd wypadł dobrze. Ale panie te były tak z góry nastrojone, że sąd nie mógł wypaść źle, i gdyby nawet Zawilowski okazał się głupim i płaskim, byłoby to wzięte za mądrość i poetyczną oryginalność. Najobojętniej zachowywała się panna Lineta, którą poniekąd dziwiło, że w tej chwili nie ona jest słońcem, a Zawilowski księżycem, lecz że dzieje się odwrotnie. Pierwsze wrażenie, jakie na nią uczyniła twarz Zawilowskiego, było: «Co za porównanie z tym głupcem Kopowskim!» I nieporównana, cudna

twarz tego «głupca» — stanęła jej jak żywa przed oczyma, skutkiem czego powieki jej stały się jeszcze cięższe, a wyraz twarzy przypominał jeszcze bardziej niż zwykle Sfinksa... z porcelany. Drażniło ją to jednak, że Zawilowski nie zwraca żadnej niemal uwagi ani na jej postać Junony, ani na «coś tajemniczego i poetycznego», co, jak utrzymywała pani Broniczowa, przykuwało od pierwszego rzutu oka. Zwolna też zaczęła na niego spoglądać i, mając, obok poetycznego usposobienia, rozwinięty silnie zmysł światowej obserwacyi, zauważyła, że wprawdzie on ma dużo wyrazu, ale że surdut na nim źle leży, i że musi się ubierać u byle krawca, a szpilka w jego krawacie jest wprost «mauvais genre». On tymczasem, rzucając niekiedy spojrzenia na Marynię, jako na jedyną bliską i przyjazną duszę, rozmawiał z panią Osnowską, która, uważając za najwyższy takt nie mówić za pierwszym razem o poezyi, a dowiedziawszy się, iż Zawilowski pierwsze lata dzieciństwa spędził na wsi, poczęła szczebiotać o swoim pociągu do życia wiejskiego. Mąż jej wołał zawsze miasto, mając w mieście swoje przyjemności i przyjaciół, ale co do niej!... «Och, ja jestem szczerą i przyznam się od razu, że nie cierpię folwarku, gospodarstwa i rachunków, za które nieraz byłam lajaną... Przytem, trochę ze

mnie próżniak, więc lubiłabym taką robotę, przy której można próżnować: zaraz! co to ja bym lubiła?»

Tu rozłożyła swe wydłużone paluszki, żeby na nich łatwiej wyliczyć zajęcia, któreby jej przypadły do smaku:

— Naprzód, lubiłabym paść gęsi!

Zawiłowski roześmiał się; wydała mu się naturalną, a przytem zabawił go obraz pani Osnowskiej pasącej gęsi.

Jej fiolkowe oczy poczęły się także śmiać, i wpadła w ton swobodnej i wesołej dziewczynki, która mówi o wszystkim, co jej przez głowę przejdzie.

— A panby lubił? — spytała nagle Zawilowskiego.

On zaś odpowiedział:

— Pasyami!

— A widzi pan!... Co to jeszcze? Aha! lubiłabym być rybakiem. Rano na wodzie muszą się zorze odbijać ślicznie... Przytem mokre sieci przed chatą, z błonkami wody w oczkach, to takie ładne!... Chciałabym być przynajmniej, jeśli nie rybakiem, to czaplą i medytować na jednej nodze nad wodą, albo czajką nad łąkami. Ale nie! czajka to jakiś smutny ptak! — prawda? — jakby w żalobie!

Tu zwróciła się do panny Castelli:

— A ty, Linetko, czem chciałabyś być na wsi?

Panna Castelli podniosła powieki i po chwili rzekła:

— Pajęczyną.

Wyobraźnia Zawilowskiego, jako poety, poruszyła się tą odpowiedzią. Nagle stanęły mu przed oczyma wielkie płowe przestrzenie rżysk i srebrne nitki, pławiące się w spokojnym błękiecie i w słońcu.

— A jaki to ładny obraz! — rzekł.

I spojrzał uważniej na pannę Linetę, a ona uśmiechnęła się, jakby z podziękowaniem za to, że odczuł piękność obrazu.

Lecz w tej chwili nadeszli Bigielowie, Zawilowskiego zaś wzięła w obroty pani Broniczowa i zastawiła go krzesłem tak, że się nie mógł poruszyć. Łatwo było odgadnąć, co stanowiło przedmiot ich rozmowy. Zawilowski bowiem podnosił od czasu do czasu oczy na pannę Castelli, jakby chcąc sprawdzić, czy wygląda na to, co o niej słyszy. Wreszcie, jakkolwiek rozmowa prowadzona była przyciszonym głosem, obecni usłyszeli wkrótce słowa, jakby przecezione przez kawałek cukru:

— Czy pan wie, że ją Napoleon... to jest, chciałam powiedzieć: Wiktor Hugo... błogosławił...

Wogóle Zawilowski nasłuchiwał się tyłu rzeczy

niezwykłych, że mógł z pewną ciekawością przy-
patrywać się pannie Castelli. Była ona, według
tych opowiadań, najdziwniejszem w świecie dzie-
kiem, zawsze bardzo łagodnem, ale nieobliczal-
nem. Mając lat dziesięć, była bardzo chora. Ka-
zano jej oddychać morskiem powietrzem, i te
panie mieszkały długo na Stromboli...

— Dziecko patrzyło na wulkan, na morze
i klaskało w ręczęta, powtarzając: «Ładnie!
ładnie!» Zajechałyśmy tam przypadkiem, błą-
kając się w najętym jachcie bez celu; trudno
było zostać dłużej, bo to pusta wysepka i nie
było gdzie mieszkać, i nie bardzo co jeść, ale
ona za nic nie chciała wyjeżdżać, jakby w prze-
czuciu, że tam przyjdzie do zdrowia. Jakoż
w miesiąc, a jeśli nie w miesiąc, to we dwa,
poczęła do siebie przychodzić, i niech pan pa-
trzy, że wyrosła mi, jak trzcina!

Rzeczywiście panna Castelli, lubo kształtna
i nie rażąca wzrostem, wyższą była nieco na-
wet od pani Osnowskiej. Zawilowski patrzył na
nią ze wzrastającym zajęciem. Przed rozejściem
się gości, wypuszczony wreszcie z niewoli, zbli-
żył się do niej i rzekł:

— Nie widziałem nigdy wulkanu i nie mam
pojęcia, jakie to może sprawiać wrażenie.

— Ja znam tylko Wezuwiusz — odpowie-

działa — ale jakeśmy go widziały, nie było wybuchu.

— A Stromboli?

— Nie znam.

— Tom się tylko przesłyszał, bo — ciotka pani...

— Tak, — odpowiedziała panna Castelli — nie pamiętam! Byłam widocznie zbyt mała.

I na twarzy jej odbiła się przykrość i zmieszanie.

Pani Osnowska, nie wychodząc do końca z roli czarującej terkotki, zaprosiła przed wyjazdem Zawilowskiego do siebie, «któregokolwiek wieczoru, bez ceremonii i bez fraka, bo taką wiosnę można uważać za lato, a w lecie najprzyjemniejsza swoboda». Oświadczyła przytem, iż rozumie, że ludzie tacy, jak on, nie lubią nowych znajomości, ale jest na to prosty sposób, a mianowicie: uważać ich za starą. Najczęściej siedzą sami: Linetka coś czyta, albo mówi, co jej przez głowę przechodzi, a jej takie różne rzeczy przez głowę przechodzą, że warto je słyszeć, zwłaszcza komuś, kto jest w stanie lepiej je odczuć i zrozumieć, niż kto inny.

Panna Castelli uścisnęła na pożegnanie dość silnie jego rękę, jakby potwierdzając, że mogą i powinni się zrozumieć. Zawilowski, nieprzywykły do ludzi, był trochę odurzony: słowami,

szelestem sukien, oczyma i zapachem irysowym, który te panie zostawiły po sobie. Czuł przytem trochę zmęczenia, bo w tej rozmowie, jakkolwiek swobodnej i pozornie pełnej prostoty, brakło takiego spokoju, jaki był zawsze w słowach pani Połanieckiej i pani Bigielowej; Zawilowskiemu zostało poniekąd wrażenie bezładnego snu.

Bigielowie mieli zostać na obiedzie, więc Połaniecki zatrzymał i Zawilowskiego. Tymczasem poczęli mówić o tych paniach.

— Cóż panna Castelli? — spytała Marynia.

— Obie mają dużo wyobraźni — odpowiedział po chwili zastanowienia Zawilowski. — Czy pani zauważyła, jak im łatwo mówić obrazami?

— Ale prawda, jaka Lineta interesująca panna?

Połaniecki, na którym panna Castelli nie czyniła wielkiego wrażenia, a który był głodny i pilno mu było do obiadu, odezwał się z pewną niecierpliwością:

— Co wy tam upatrujecie! Interesująca, dopóki nie spowszednieje.

Pani Połaniecka zaś odrzekła:

— Nie! Lineta nie spowszednieje... Powszednieją tylko takie zwyczajne, proste istoty, które nie umieją nic innego, tylko kochać.

Zawilowskiemu, który spojrzał na nią w tej

chwili, wydało się, iż dostrzegł w niej odcień smutku. Była może przytem jeszcze osłabiona, bo twarz jej miała tony poprostu liliowe.

— Pani się zmęczyła? — spytał.

— Trochę — odpowiedziała, uśmiechając się.

Jego zaś młode, wrażliwe serce zabiło dla niej wielkiem współczuciem. «To jest naprawdę lilia» — pomyślał — i, w porównaniu z jej słodkim urokiem, pani Osnowska przedstawiła mu się jak krzykliwa sójka, a panna Castelli, jak martwa głowa posągu. Poprzednio, po każdym widzeniu pani Polanieckiej, marzył, bywało, o takiej kobiecie, jak ona; tego wieczoru począł marzyć nie o takiej jak ona, ale o niej samej. A ponieważ uświadamiał szybko wszystko, co się w nim działo, więc spostrzegł, że ona zaczyna mu być kwiatem nietylko «polnym», ale i kochanym.

Polaniecki zaś, spotkawszy go na drugi dzień w biurze, pytał:

— Cóż, śpiąca królewna? Śniła się panu? co?

— Nie! — odpowiedział Zawilowski, czerwieniąc się.

Polaniecki, spostrzegłszy jego rumieniec, począł się śmiać i rzekł:

— Ha! trudno! każdy musi przez to przejść: przeszedłem i ja!

XLI.

Marynia nie skarżyła się nawet sama przed sobą na męża. Nie było dotąd między nimi najmniejszego nieporozumienia. Musiała tylko przyznać, że prawdziwe, bardzo wielkie szczęście, a zwłaszcza bardzo wielką miłość, taką, o jakiej marzyła, gdy Połaniecki był jej narzeczonym, wyobrażała sobie inaczej. O tem przekonywał ją każdy niemal dzień. Inne były nadzieje, inną pokazywała się rzeczywistość. Prawa natura Maryni nie poczęła się przeciw tej rzeczywistości buntować, ale padł na nią cień smutku, wraz z poczuciem, że ów cień może się stać z czasem tłem życia. Mając pełną duszę dobrej woli, próbowała sobie z początku dowieść, że to są jej własne urojenia. Czego jej brakło i w czem Połaniecki mógł ją zawieść? Nie wyrządził jej nigdy umyślnej przykrości; ilekroć przyszło mu do głowy, że coś mogłoby być jej przyjemne, starał się jej to zapewnić: był dla niej hojny, dbał o jej zdrowie, chwilkami zacałowywał jej twarz i ręce — słowem, był raczej dobrym, niż złym. A jednak czegoś w tem brakło. Maryni trudno było to określić w jednym lub kilku słowach, ale umysł jej był zbyt jasnym, żeby nie rozumieć tego, co serce odczuwało codziennie żywiej i codziennie smutniej.

Czegoś brakło! Po wielkiem i uroczystem święcie miłości zaczynał się szereg dni powszednich, a jej żal było święta; chciałaby była rozciągnąć je na całe życie, widziała zaś ze zmartwieniem, że mężowi jej ta powszedniość wydawała się właśnie czemś normalnem i pożądanem. Tak jak było, nie było źle, ale to nie było owo wysokie szczęście, które «*taki człowiek*» powinien był zdolny czuć, stworzyć i dać. Ale prócz tego chodziło i o inne rzeczy. Oto ona czuła, iż jest więcej jego, niż on jej — i że gdy ona oddaje mu całą duszę, on zwraca jej ze swojej tylko tę cząstkę, którą z góry przeznaczył na użytek domowy. Mówiła sobie wprawdzie, że on jest mężczyzną, że ma po za nią cały świat pracy i myśli; ale niegdyś spodziewała się, że on ją weźmie za rękę i w ten świat wprowadzi, że przynajmniej w domu będzie się nim z nią dzielił, tymczasem nie mogła się nawet ludzi, żeby tak było. I rzeczywistość gorsza była, niż sobie wyobrażała. Polaniecki — jak sam się wyrażał — wziął ją i miał, i gdy wzajemne ich uczucie stało się zarazem prostym wzajemnym obowiązkiem, sądził, iż nie potrzebuje inaczey się o nie troszczyć, ani inaczey o nie zabiegać, niż o wszelkie inne obowiązki codziennego życia. Nie przyszło mu wprost do głowy, że do takiego ogniska nie dość jest do-

kladać zwyczajnych drew, jak się dokłada do komina, ale że trzeba sypać w nie bursztyn i myrrę, tak, jak się je sypie przed oltarzem. Gdyby mu ktokolwiek coś podobnego powiedział, wzruszyłby ramionami i uznał go za romantyka. Dlatego była w nim może troskliwość męża, ale nie było nic troski kochanka, ani przejęcia się, ani czuwania, ani takiej bojaźni, która w mniejszym zakresie ziemskich uczuć jest tem, czem bojaźń boża w uczuciu religijnem. Niegdys, gdy po sprzedaży Krzemienia Marynia była względem niego obojętna, on czuł i przeszedł przez to wszystko, ale teraz, a nawet od czasu śmierci Litki, gdy poczał być zupełnie pewnym, że ona jest jego własnością, nie myślał o niej więcej, niż wypada myśleć o własności. Uczucie jego, oparte przeważnie na jej uroku fizycznym, posiadało to, czego chciało — i było spokojne, a czas mógł je tylko w przeszłości spowszedniać, ochładzać, stępiać.

Tymczasem teraz już, jakkolwiek było jeszcze żywe, brakło mu takiej naprzykład czujnej i pieśczołliwej tkliwości, jaka była w uczuciu dla Litki. I Marynia to spostrzegła. Dlaczego tak było? — na to nie umiała odpowiedzieć, niemniej jednak wyraźnie czuła, że była dla tego człowieka, któremu chciała być wszystkim,

czemś pospolitszem i mniej cennem, niż tamto zmarłe dziecko.

Nie przyszło jej to do głowy i nie mogłoby się żadną miarą w niej pomieścić, iż jedyny powód był ten, że tamto dziecko nie było jego, a ona zaś oddała mu i ciało i duszę. Sądziła, że im się więcej oddaje, tem się więcej powinno otrzymać i mieć. Ale czas przyniósł jej pod tym względem dużo zawodów. Oto nie mogła również nie dostrzedz, że wszyscy ją cenią, chwalaą, że Świrski, Bigiel, Zawilowski i nawet pan Osnowski, patrzą na nią nietylko z podziwem, ale niemal z zachwytem, i że najnniej ze wszystkich robi sobie z tych przymiotów — on — «Stach». Ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, by on nie był zdolny się na niej poznać i ocenić tego, co inni w niej dostrzegali i ocenili z taką łatwością. Więc co był za powód? Te pytania dręczyły ją teraz dniem i nocą. To, iż spostrzegła, że Polaniecki we wszystkim trochę udaje charakter zimniejszy i bardziej trzeźwy, niż ma rzeczywiście, nie wydało się jej dostateczną odpowiedzią. Pozostawała jej, niestety, odpowiedź tylko jedna: «On mnie nie kocha tak, jakby mógł, i dlatego nie ceni, jak cenią inni». Było w tem tyle samo prawdy, ile goryczy i smutku.

Instynkt kobiecy, który w takich razach

nigdy nie zawodzi, ostrzegł Marynię, że uczyniła na Zawilowskim niezwykle wrażenie, i że to wrażenie powiększało się za każdym spotkaniem. I myśl ta nie oburzyła jej, nie wybuchnęła w gniewnem pytaniu: «Jak on śmie?!» — bo zresztą on na nic się nie ośmielał — przeciwnie, dodała jej pewnej otuchy, pewnego zaufania we własny urok, które chwilami poczynała tracić, ale zarazem wzbudziła tem większy żal, że taką tkliwą cześć, taki zachwyt okazywał jej ktoś obcy, nie zaś «Stach». Co do Zawilowskiego, nie czuła dla niego nic, prócz wielkiej sympatyj i przychylności, więc myśli jej pozostały czyste. Nie byłaby zdolną bawić się przez próżność cudzem cierpieniem, i z tego powodu, nie chcąc, by zaszedł za daleko, przyłączyła się chętnie do planu pani Osnowskiej zbliżenia Zawilowskiego z panną Castelli, jakkolwiek ten plan wydał się jej tak nagłym, że aż niezrozumiałym. Zresztą i serce jej i umysł były zajęte całkowicie pytaniami: czemu ten dobry, ten rozumny i ten kochany «Stach» nie chce wstępować z nią na wysokości? czemu on nie ceni jej tak, jakby mógł? czemu on ją tylko kocha, ale nie kocha się w niej? czemu jej miłość uważa tylko za coś przynależnego sobie, ale nie za coś drogiego? Skąd to poszło i gdzie leży tego przyczyna?

Każda płaska, samolubna natura znalazłaby całą winę w nim — Marynia Polaniecka znalazła ją w sobie. Wprawdzie odkrycie to uczyniła z cudzą pomocą, ale tak była zawsze gotowa zdjąć wszelką odpowiedzialność ze swego «Stacha», a wziąć na siebie, że obok przestachu, sprawiło ono jej niemal radość.

Raz po południu siedziała sama i z rękoma złożonemi na kolanach gubiła się w myślach i pytaniach, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi, gdy wtem drzwi się otworzyły, i ukazał się w nich biały kwef i ciemna suknia Siostry miłosierdzia.

— Emilka! — zawołała z radością pani Polaniecka.

— Tak, to ja — odpowiedziała Siostra; — mam dziś wolny dzień i chciałam was odwiedzić. Gdzie pan Stanisław?

— Stach jest u państwa Maszków, ale myślę, że niezadługo wróci. Ach, jaki będzie rad! Siadaj, odpocznij!

Pani Emilia siadła i poczęła mówić:

— Jabym częściej do was wpadała — tylko że nie mam czasu. Ale dziś wolny dzień: byłam u Litki. Żebyś wiedziała, jak tam zielono i co ptaków!

— Byliśmy tam kilka dni temu. Wszystko

kwitnie — i taki spokój... Jaka szkoda, że Stacha niema!

— Tak. On ma przytem kilka listów Litki: chciałam go prosić, żeby mi ich pożyczył. Na przyszłą niedzielę wpadnę znowu i odniosę mu je.

Pani Emilia mówiła już spokojnie o Litce. Może było tak dlatego, że z niej samej został tylko cień żywej istoty, który miał się wkrótce rozwiać — ale tymczasem była w niej niezmacona pogoda. Myśl jej nie była już także pochłonięta wyłącznie nieszczęściem, i owa dawna obojętność dla wszystkiego, co nie było Litką, przeszła. Zostawszy Siostrą miłosierdzia, zstąpiła znów między ludzi i nauczyła się odczuwać wszystko, co stanowiło ich dołę lub niedołę, wesołość lub smutek, a nawet przyjemność lub przykrość.

-- A jak tu u was zawsze ładnie! — rzekła po chwili. — Po naszych białych ścianach, takie mi się tu wszystko wydaje bogate. Pan Stanisław był niegdyś wielki leniuch; bywał u państwa Bigielów i u nas; nigdzie więcej nie chcieli mu się bywać, ale teraz pewno się rozruszał i przyjmujecie dużo ludzi?

— Nie — odpowiedziała Marynia. — Bywamy tylko u państwa Maszków, u pani Broniczowej i u państwa Osnowskich.

— A, poczekaj! Ja znam panią Osnowską. Znałam ją jeszcze panną. Znałam także oboje państwa Broniczów i ich siostrzenicę, ale ona nie była wtedy jeszcze dorosłą. Pan Bronicz umarł sześć lat temu. Widzisz, jak ja wszystko wiem!

Marynia poczęła się śmiać.

— Doprawdy więcej ode mnie. Ja poznałam państwa Osnowskich dopiero w Rzymie.

— Przecie tyle lat mieszkałam w Warszawie, więc wszystko obijało mi się o uszy. Niby to przesiadywałam ciągle w domu, ale świat mnie zajmował. Taki to był ze mnie lekkoduch! Zresztą i twój dzisiejszy pan Stach znał panią Osnowską...

— Mówił mi o tem. Spotykali się na balach publicznych.

— Ona miała wówczas wychodzić za pana Kopowskiego. Były i lzy, i rozpacz, bo jej ojciec się sprzeciwił. Ale dobrze trafiła? — nie prawda? Pan Osnowski zawsze uchodził za bardzo dobrego człowieka.

— I jest dla niej jak najlepszy. Ale o tem nie wiedziałam, że ona miała wyjść za pana Kopowskiego, i dziwi mnie to — taka inteligentna!

— Chwała Bogu, że szczęśliwa; byle chciała to cenić. To rzadka rzecz szczęście, i tak się

trzeba umieć z tem dobrze obchodzić! Ja się nauczyłam teraz patrzeć na świat bardzo bezstronnie, jak mogą tylko ludzie, którzy dla siebie niczego już nie wyglądają — i wiesz, co mi nieraz przychodzi do głowy? Że szczęście, to jak oczy: lada prószynka — i zaraz poczynają lzy płynąć.

Marynia uśmiechnęła się trochę smutno i odrzekła:

— Oj to, to wielka prawda!

Nastąpiła chwila milczenia, poczem pani Emilia, spojrzawszy uważnie na Marynię, położyła łagodnie swoją przezroczystą rękę na jej dłoni i spytała:

— Ale ty, Marylko, jesteś szczęśliwa? — tak?

Marynię chwyciła nagle taka chęć do płaczu, że oparła się jej tylko z największem wysileniem. Ale trwało to jedno mgnienie oka. Cała jej prawa dusza wzdrygnęła się nagle na myśl, że jej lzy lub smutek byłyby niejako skargą na męża, więc siłą woli opanowała wzruszenie i odrzekła:

— Byle tylko Stach był szczęśliwy!

I podniosła pogodnie już zupełnie oczy na panią Emilię, która rzekła:

— Litka wam to wyprosi! Spytałam tylko dlatego, że jakem weszła, wydałaś mi się jakaś zasepiona. Ale ja wiem najlepiej, jak on cię ko-

chal i jaki był nieszczęśliwy wówczas, gdyż się na niego gniewała z powodu Krzemienia.

Maryni twarz rozjaśniła się uśmiechem. Tak mile jej było każde słowo o jego dawnej miłości, że gotowa była słuchać tego rodzaju opowiadań bez końca.

Pani Emilia zaś mówiła dalej, dotykając jej ręki.

— A ty, brzydkie dziecko! takieś było niemilosierne, tak nie umiałaś ani ocenić, ani uszanować prawdziwego przywiązania, że czasem byłam na ciebie zła. Czasem bałam się o poczciwego pana Stanisława, żeby się nie zraził do życia, żeby się nie zwiechnął, żeby nie zdziwaczał. Bo to, widzisz, zdarza się, że jak się zrobi jakaś faldka gdzieś w głębi serca, to całe życie nie można jej potem wyprostować.

Marynia podniosła głowę i poczęła mrugać, jakby oczy jej poraziło jakieś nagle światło:

— Emilko, Emilko! — zawołała — jak ty rozumnie mówisz!

Pani Emilia nazywała się teraz «Siostra Aniela», ale Marynia nazywała ją zawsze dawnem imieniem.

— Ej, co tam rozumnego! — rzekła. — Ot, tak sobie zrządzą za dawne czasy. Ale Litka wyprosi wam szczęście, i Bóg wam je da, boście go oboje warci.

I poczęła się zbierać. Marynia zatrzymywała ją do przyjścia męża, ale napróżno, gdyż w zakładzie czekało ją zajęcie. Jednakowoż pogawędziły jeszcze, według zwyczaju kobiecego, z kwadrans we drzwiach; wreszcie pani Emilia odeszła, obiecując odwiedzić ich znów na przyszłą niedzielę.

Marynia Polaniecka wróciła na swój fotel pod oknem i, wsparłszy się na rękę, poczęła myśleć nad słowami pani Emilii, po chwili zaś rzekła półgłosem:

— Tak, to moja wina!...

Zdawało jej się teraz, że ma klucz do zagadki.

Oto nie umiała uszanować siły tak prawdziwej i tak wielkiej, jak miłość. I teraz w jej struchlałym sercu wydała się ta miłość jakimś obrażeniem bóstwem, które karze. Wówczas Polaniecki był przed nią na kolanach. Ilekroć się spotkali, patrzył jej w oczy, wyglądając zmiłowania od jej serca i od tych wspomnień błahych, nikłych, ale drogich, które ich łączyły. Gdyby wtedy była zdobyła się na prostotę i na wspaniałomyślność, gdyby była wyciągnęła do niego rękę, jak nakazywało jej tajone uczucie — byłby jej wdzięczny przez całe życie, byłby czcił ją, czcił i kochał z tem większą tkliwością, im bardziej odczuwałby własną winę, a jej

dobroć. Ale ona wówczas wolala pielęgnować i rozdmuchiwać swoją urazę, a jednocześnie przyciągać Maszkę. Gdy było trzeba zapomnieć, nie umiała zapomnieć; gdy trzeba było przebaczyć, nie umiała przebaczyć. Wolala sama cierpieć, byle i on cierpiał. Polanieckiemu oddala rękę wówczas dopiero, kiedy nie mogła inaczej, kiedy nie oddać jej byloby wprost niecną i bezrozumną zatwardziałością. Prawda, że wówczas tłumione kochanie powstało w całej swej nieprzezwytecznej mocy, i że pokochała sercem i duszą — ale to było za późno. Miłość została obrażona. Coś się złamało, coś zginęło; w jego sercu powstała taka złowroga falda, o jakiej wspomniala pani Emilia — i teraz ona, Marynia, zbiera tylko to, co posiala.

On tu nic nie winien — i jeśli kto komu, to nie on jej, ale ona jemu popsula życie.

Zdjął ją na tę myśl taki strach i taki żal, że przez chwilę patrzala w przyszłość z zupełnem przerażeniem. A zarazem chciało się jej płakać i płakać, jak małemu dziecku. Gdyby pani Emilia nie była odeszła, byłaby to uczynila w jej ramionach. Była tak przejęta ciężarem własnych przewinień, że gdyby w tej chwili ktoś nadszedł i próbował zdjąć z niej ten ciężar, gdyby jej powiedział: «Tyś tyle winna, ile gołąb» — byłaby uważala, iż mówi rzecz nie-

godziwą. Najstraszniejszym w tej rozterce duchowej było to, że w pierwszej chwili klęska wydała jej się niepowetowaną, i że jej się zdawało, iż w przyszłości może być tylko gorzej i gorzej, że «Stach» będzie ją coraz mniej kochał — i że będzie miał prawo coraz mniej kochać, słowem: nie widziała przed sobą ratunku.

Logika mówiła jej: dziś jeszcze jest dobrze w porównaniu z tem, co może być jutro, pojutrze, za miesiąc, za rok... A tu przecie chodzi o całe życie.

I poczęła wysilać swą biedną, strapioną głowę, by wynaleźć, jeśli nie drogę, to przynajmniej jaką ścieżynę, którąby można wyjść z tych manowców nieszczęścia. Nakoniec, po długim wysileniu, po Bóg wie ilu polkniętych łzach, zdawało jej się, że widzi przed sobą jakieś światło.

I to światło, w miarę, jak mu się jąła przyglądać, rosło coraz bardziej.

Było jednak coś potężniejszego od logiki nieszczęścia, potężniejszego od win spełnionych i obrażonego bóstwa, umiejącego się tylko mścić — miłosierdzie boże!

Ona zawiniła, więc do niej należy winy naprawić. Trzeba oto «Stacha» kochać tak, żeby odnalazł wszystko to, co mu zginęło w sercu.

Trzeba mieć cierpliwość i nietylko nie narzekać na swoją dzisiejszą dolę, ale jeszcze dziękować Bogu i «Stachowi», że jest taka, jak jest. Gdyby przyszły większe smutki i trudności, trzeba je po cichutku pochować w sercu — i wytrwać długo, bardzo długo, choćby lata całe, póki nie przyjdzie miłosierdzie boże.

Ścieżynka poczęła się teraz zmieniać w gościniec. «Nie zabłądź!» — mówiła sobie Marynia. — Chciało się jej i teraz płakać z wielkiej radości, ale sądziła, że nie może sobie na to pozwolić. Zresztą lada chwila Stach mógł wrócić, i trzeba, żeby ją zastał z suchemi oczyma.

Jakoż niebawem wrócił. Marynia chciała w pierwszej chwili rzucić mu się na szyję, ale czuła się względem niego tak winną, że wstrzymała ją jakaś nagła nieśmiałość.

On zaś, pocałowawszy ją w czoło, spytał:

— Nie był tu nikt?

— Była Emilka, ale nie mogła dłużej zostać. Przyjdzie w przyszłą niedzielę.

Wówczas zniecierpliwził się:

— Ach, Boże! Wiesz, że to taka dla mnie przyjemność ją widzieć — czemuś nie dała mi znać? Wiedziałaś przecie, gdzie jestem; czemuś nie pomyślała o mnie?

A ona, jak dziecko, które się tłumaczy, po-

częła mówić głosem, w którym drgały lzy, ale zarazem i jakaś otucha:

— Nie, Stachu! — owszem! — jak ciebie kocham, tak ciągle myślałam o tobie!

XLII.

— A widzicie państwo, że byłem — mówił wesoło u Bigielów Zawilowski: — patrzyli na mnie trochę jak na jakąś panterę, albo na wilka, ale ja okazałem się bardzo oswojonem stworzeniem; nikogo nie podrapałem, nic nie rozbilem, odpowiadałem mniej więcej przytomnie. Nie, ja to przecie dawno zauważyłem, że z ludźmi łatwiej żyć, niż się wydaje — i tylko w pierwszych chwilach mam zawsze ochotę zmykać. Ale te panie naprawdę bardzo są swobodne.

— Proszę nas nie zbywać i opowiedzieć nam dokładnie wszystko, jak było — rzekła pani Bigielowa.

— Jak było? Otóż naprzód wszedłem za kratę willi i nie wiedziałem, co dalej uczynić, ani gdzie mieszkają państwo Osnowscy, a gdzie pani Broniczowa — i czy im się razem składa wizytę, czy trzeba być osobno u jednych i u drugich,

— Osobno — rzekł Połaniecki. — Pani Broniczowa ma oddzielne mieszkanie, chociaż mają jeden salon, który uważają za wspólny.

— Otóż znalazłem wszystkich w tym salonie, i pani Osnowska pierwsza wyprowadziła mnie z kłopotu, bo mi powiedziała, że się mną dzieli z panią Broniczową, i że za jednym razem składam dwie wizyty. Zastałem tam panią Maszkową i pana Kopowskiego — i to jest jakiś pan, taki piękny, że powinien mieć na głowę takie pudelko z aksamitem we środku, jakich używają jubilerowie. Kto to jest pan Kopowski?

— Dureń! — odpowiedział Połaniecki. — W tem się mieści imię, sposób utrzymania, zajęcie i znaki szczególne. Innego rysopisu nie potrzebuje nawet w paszporcie.

— Teraz rozumiem, — rzekł Zawilowski — i niektóre słowa, jakie słyszałem, stały się jasne. Otóż ten pan pozował, a młode panie malowały go: pani Osnowska olejno wprost, a panna Castelli akwarelą z profilu. Obie były ubrane w perkalowe fartuszki na wierzchu sukien i obie były śliczne. Pani Osnowska widocznie dopiero zaczęła się uczyć, ale panna Castelli ma dużo wprawy.

— O czemżeście mówili?

Zawilowski zwrócił się do Maryni:

— Naprzód te panie pytały o zdrowie pani,

ja zaś powiedziałem, że pani coraz lepiej wygląda.

Nie wspomniał jednak, że przy tej okazji zaczerwienił się był jak student i że obecnie pocieszał się tylko myślą, że wszyscy tak byli zajęci malowaniem, iż nikt tego nie zauważył, w czem zresztą mylił się.

Zmieszał się nawet nieco teraz jeszcze i, chcąc to pokryć, począł mówić dalej:

— Później, oczywiście, mówiliśmy o malowaniu i portretach. Ja zauważyłem, że panna Castelli ujęła nieco głowy panu Kopowskiemu, ona zaś odpowiedziała mi: «To nie ja, to natura!»

— To sprytna dziewczyna!

— I powiedziała to zupełnie głośno. Ja się zacząłem śmiać, wszyscy inni także, a ze wszystkimi i pan Kopowski. To musi być łatwy charakter. Oświadczył następnie, że jeśli dziś gorzej wygląda, niż zwykle, to dlatego, że się nie wyspał i że mu pilno w objęcia Orfeusza.

— Orfeusza?

— Tak. Pan Osnowski poprawił go bez ceremonii, ale on się nie zgodził na poprawkę, mówiąc, że przynajmniej z dziesięć razy był na Orfeuszu — i że pamięta dobrze. Te panie trochę się nim bawią, ale on taki ładny chłopiec, więc go rade malują. Jaka to jednak

artystka ta panna Castelli! Jak mi zaczęła pokazywać pędzelkiem rozmaite płaszczyzny i linie na zaczętych portrecie pana Kopowskiego, to aż dostała kolorów: «Co to za linia!» — «A jakie tu tony!» Muszę jej oddać sprawiedliwość, że wyglądała przytem jak muza. Mówiła mi, że przedewszystkiem lubi malować portrety, że o każdej twarzy myśli naprzód, jak o modelu, i że te głowy, w których jest coś niepospolitego, śnią się jej.

— Oho! będzie i pan naprzód się jej śnił, a potem pozował — jestem pewna! — odrzekła Marynia. — I to będzie dobrze.

Zawilowski zaś odpowiedział trochę niepewnym głosem:

— Powiedziała mi wprawdzie, że to jest podatek, który lubi ściągać od dobrych znajomych, sama jednak wprost nie zwróciła się do mnie z żądaniem — i, gdyby nie pani Broniczowa, nie byłoby o tem mowy.

— Pani Broniczowa wyręczyła muzę? — rzekł Połaniecki.

Marynia zaś powtórzyła:

— Owszem, to będzie dobrze.

— Dlaczego, pani? — spytał Zawilowski.

I spojrział na nią wzrokiem zarazem pokornym i niespokojnym. Myśl, że ona może chce umyślnie popchnąć go do innej, dlatego, iż od-

gadła, co dzieje się w jego sercu, pociągała go i zarazem przejmowała strachem.

— Bo — odpowiedziała Marynia — ja wprowadzie panny Linety prawie nie znam i sędzę tylko z pierwszych wrażeń i z tego, co o niej slysze, ale mi się wydaje, że to niepospolita natura, i że jest coś głębokiego w jej sercu — więc dobrze, że się poznacie.

— Ja także sędzę z pierwszych wrażeń, — odpowiedział uspokojony Zawilowski — i prawda, że mnie równie panna Castelli wydaje się mniej powierzchowną, niż pani Osnowska. Wogóle to są ładne i mile kobiety — tylko — może ja nie umiem tego określić, bo nie znam dość świata, ale oto, wyszedłszy od nich, miałem takie uczucie, jakbym jechał w wagonie z ogromnie miłemi cudzoziemkami, które bawią się, rozmawiają bardzo sprytnie — ale nic więcej. Czuje się jednak w nich coś obcego. Pani Osnowska naprzykład, to zupełnie jak storczyk. Kwiat bardzo szczególny i ładny, ale jakiś obcy. Panna Castelli — także. Tak!... i w niej niema nic swojego. Z niemi niema się uczucia, że się wyrosło z jednego pola, na jednym dżdżu i pod jednym słońcem...

— Jaką ten poeta ma intuicyę! — rzekł Polaniecki.

Zawilowski zaś ożywił się tak, iż na jego

delikatnem czole zarysowały się wyraźniej żyły w kształcie Y. Czuł, że w jego przyganie dla tamtych pań jest zarazem pochwałą dla Maryni, i to czyniło go wymownym.

— Przytem — mówił dalej — istnieje jakiś instynkt, który odgaduje prawdziwą życzliwość ludzką. Tam się tego nie odgaduje. One są miłe, uprzejme — ale to wygląda tylko na formę, i dlatego myślę, że tam człowiek szczery, który łatwo lgnie do ludzi, mógłby doznać wielu zawodów. To taka przykra i upokarzająca rzecz brać towarzyską plewę za ziarno! Co do mnie, to dlatego właśnie boję się ludzi; bo choć pan Połaniecki powiada, że ja mam intuicyę, ale ja wiem doskonale, że w gruncie rzeczy jestem naiwny. A bolą mnie takie rzeczy ogromnie. Poprostu, nie znoszą tego moje nerwy. Pamiętam, że gdy, będąc jeszcze dzieckiem, zauważyłem, że ludzie są inni dla mnie przy rodzicach, a inni, gdy ich niema, była to jedna z większych przykrości mego dzieciństwa. Wydawało mi się to nikczemne i gryzło mnie tak, jakbym się sam czegoś nikczemnego dopuszczał.

— Bo pan ma poczciwą naturę — rzekła pani Bigielowa.

On zaś wyciągnął swoje długie ręce, którymi miał zwyczaj wymachiwać, gdy zapom-

niawszy o swej nieśmialości, mówił swobodnie, i zawołał:

— Ach, szczerłość! to i w sztuce i w życiu — jedyna rzecz!

Lecz pani Polaniecka poczęła bronić tamtych pań. Ludzie, a zwłaszcza panowie, są często niesprawiedliwi i własne posądzenia, a nawet przypuszczenia, biorą za rzeczywistość. Co do pani Osnowskiej i panny Castelli, jak można je podejrzewać za drugim widzeniem? Są wesole, dobre, uprzejme, i z czegoż miałyby płynąć ta uprzejmość, jeśli nie ze szczerego serca?

Poczem, zwróciwszy się do Zawilowskiego, poczęła się z nim przekomarzać, trochę żartami, trochę naprawdę:

— A pan nie ma takiej poczciwej natury, jak mówi pani Bigielowa, bo te panie pana chwala, a pan je obmawia!...

Lecz Polaniecki przerwał jej ze zwykłą sobie życzliwością:

— Ach, ty jesteś także naiwna i wszystkich mierzysz własną miarą. Wiedźże o tem, że zdawkowa dobroć i uprzejmość mogą płynąć także z egoizmu, który chce, żeby mu wesoło było i spokojnie.

Poczem rzekł do Zawilowskiego:

— Jeśli pan tak uwielbia szczerłość — to ot! tu siedzi! — masz pan prawdziwy typ!

— Wiem! wiem! — rzekł z zapalem Zawilowski.

— A chciałbyś, żeby było inaczej? — pytała, śmiejąc się, Marynia.

— Nie; nie chciałbym, ale swoją drogą, jakie to naprzykład szczęście, że nie jesteś za mała i że nie potrzebujesz nosić korków, bo gdybyś je nosiła, miałabyś ustawiczne zapalenie sumienia, że oszukujesz ludzi.

A Marynia, widząc, że wzrok Zawilowskiego skierował się do jej stóp, pochowała je mimowolnie pod stolec, i zmieniając przedmiot rozmowy, rzekła:

— A pański tom wyjdzie już podobno w tych dniach?

— Byłby już wyszedł, — odpowiedział Zawilowski — ale dodałem jeden wiersz — i to wydanie opóźni.

— A można wiedzieć tytuł wiersza?

— Lilia.

— Czy nie Lilia-Lineta?

— Nie, pani. Nie Lilia-Lineta.

Twarz Maryni spoważniała. Łatwo jej było z odpowiedzi odgadnąć, że to jest wiersz do niej i o niej, więc nagle uczyniło się jej przykro, że to rozumie tylko ona sama a drugi Zawilowski, i że skutkiem tego powstaje między nimi rodzaj tajemnicy, im tylko wiadomej. Zda-

wało jej się, że to jest czemś niezgodnem z tą jej szczerością, o której przed chwilą była mowa, i że jest jakimś grzechem względem «Stacha». Po raz pierwszy dostrzegła, w jakie duchowe trudności może wpaść kobieta, choćby najbardziej zakochana w mężu i najniewinniejsza, jeśli tylko padnie na nią nieobojętny wzrok obcego mężczyzny. Bo jednak wtajemniczyć męża w swoje przypuszczenia wydało się jej niepodobieństwem. Po raz pierwszy zdjął ją pewien gniew na Zawilowskiego, ten zaś odczuł to natychmiast swymi nerwami artysty, tak, jak barometr odczuwa zmiany pogody, jako zaś człowiek pozbawiony wszelkiego doświadczenia, wziął rzecz tragicznie. Wyobraził sobie, że Marynia zamknie mu drzwi, że go znienawidzi, że nie będzie mógł jej widywać — i cały świat przedstawił mu się odrazu w żalobnych barwach. W jego artystycznej naturze istniała prawdziwa mieszanina egoizmu, fantazyi i istotnej tkliwości, niemal kobiecej, która potrzebowała ciepła i kochania. Poznawszy panią Połaniecką, przylgnął do niej z prawdziwym egoizmem sybaryty, któremu takie uczucie jest miłe, i który o niczem więcej nie myśli; następnie jego fantazyja wyniosła ją na poetyckie wyżyny i, spotęgowawszy stokrotnie rzeczywisty jej urok, uczyniła z niej nadziemską niemal

istotę, a wreszcie wrodzona tkliwość, dla której osamotnienie i brak blizkiego serca były rzeczywistym bólem, wzruszyła się tak tą dobrocią, z jaką został przygarnięty, że z tego wszystkiego zrodziło się coś, mającego wszelkie pozory miłości. Brakło jednak temu uczuciu realnych podstaw. Zawilowski, jak zresztą większość artystów, obok zdolności do porywów tak idealnych, jak idealną jest sama dusza, miał zmysły satyra. Otóż zmysły te tym razem spały. Przybrał Marynię w tyle blasków, w tyle świętości, że nie pożądał jej. Gdyby, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, rzuciła mu się niespodzianie na szyję, przestałaby estetycznie dla niego być tem, czem była i czem ją chciał mieć, to jest istotą bez skazy. Tem bardziej też sądził, że na takie uczucie może sobie pozwolić, i tem bardziej było mu teraz żal tego upojenia, które w tak wdzięczny sposób kołysało myśl i zapełniło mu pustkę życia. Tak mu było z tem dobrze, że, wróciwszy do siebie, widział jakąś postać kobiecą, do której nóg kładł duszę, że miał o kim marzyć i do kogo pisywać wiersze. Teraz zrozumiał, że jeśli pani Polaniecka domyśli się wyraźnie, co się w nim dzieje, i jeśli on sam nie potrafi lepiej tego ukryć, niż dotąd, to stosunek ich nie będzie mógł się ostać, i dawna pustka, tym razem jeszcze dotkliwsza, otoczy

go znowu. Począł więc wysilać głowę, jakby temu zapobiedz i jakby nietylko nie utracić nic z tego, co dotąd miał, ale widywać Marynię jeszcze częściej. W bujnej jego wyobraźni nie brakło sposobów, jakoż uczyniwszy ich pobieżny przegląd, znalazł i wybrał jeden, który, jak mu się zdawało, prowadził najprostszą drogą do celu.

— Zakocham się niby w pannie Castelli, — rzekł sobie — a jej będę się zwierzał z moich udręczeń. To nas nietylko nie oddali, ale zbliży. Uczynię z niej moją patronkę.

I natychmiast począł układać rzecz, tak, jakby układał sztukę. Wyobrazil sobie, że się naprawdę kocha w tamtej «sennej królownie», że jest nieszczęśliwy i że wyznaje swoją tajemnicę Maryni, która go słucha pochylona, z wilgotnemi z litości oczyma i, jak prawdziwa siostra, kładzie mu rękę na czoło. Ta gra fantazyi wydała mu się tak oczywistą, a wrażliwość jego była tak wielką, że komponował wyrażenia, jakimi będzie spowiadał się Maryni — wynajdywał proste a rozdzierające — i czynił to z takim przejęciem, że się niemal wzruszał zupełnie szczerze.

Marynia zaś, wracając z mężem do domu, rozmyślała o tym wierszu, zatytułowanym »Lilia«, który opóźnił wydanie książki. Jako praw-

dziwa kobieta, trochę go była ciekawa, a trochę się go bała. Bała się też wogóle trudności, jakie mogła zrodzić w stosunku z Zawilowskim przyszłość.

I pod wpływem tych obaw rzekła:

— Wiesz, o czym ja myślę? że taka Lineta, to byłby jednak wielki los dla Zawilowskiego.

— Powiedz mi, — odpowiedział Polaniecki — co wam strzeliło do głowy z tym Zawilowskim i z tamtą włoską gidyą?

— Ja, mój Stachu, przecie nie swatam, tylko mówię, że nie byłoby to źle. Anetce Osnowskiej trochę się pali w głowie, to prawda, ale ona taka żywa, jak iskra.

— Narwana, nie żywa, ale wierz mi, że nie taka naiwna, jak się wydaje, i we wszystkim ma swój osobisty planik. Czasem myślę, że ją panna Castelli tyle obchodzi, ile mnie, i że na dnie tego wszystkiego jest coś innego.

— Cóżby mogło być?

— Nie wiem, a nie wiem może dlatego, że i to mnie mało obchodzi. Wogóle nie mam zaufania do tych kobiet.

Dalszą rozmowę przerwał im Maszko, który zajeżdżał właśnie dorożką przed ich dom, i ujrawszy ich, pośpieszył powitać Marynię, następnie rzekł do Polanieckiego:

— Dobrze, żeśmy się spotkali, bo jutro wy-

jeżdżam na parę dni, a że dziś termin, więc przynoszę ci pieniądze.

Poczem zwrócił się do Maryni:

— Byłem właśnie u ojca pani. Pan Pławicki doskonale wygląda, ale mówił mi, że tęskni za wsią i za gospodarstwem, dlatego namyśla się, czy nie kupić jakiego mająteczku pod miastem. Powiedziałem mu, że jeśli wygramy sprawę, to może się utrzymać przy Płoszowie.

Maryni nie w smak była ta rozmowa, w której przebijała zresztą lekka ironia, więc nie chciała jej podtrzymywać. Po chwili też Połaniecki zabrał Maszkę do swego gabinetu.

— Wszystko więc dobrze idzie? — rzekł.

— Oto jest rata, — odpowiedział Maszko — jaka przypada od twojej sumy. Bądź łaskaw pokwitować.

Połaniecki siadł do biurka i napisał pokwitowanie, Maszko zaś rzekł:

— A teraz inna sprawa. Sprzedałem ci niegdyś dąbrowę na Krzemieniu, z warunkiem, że będę mógł ją odkupić, zwróciwszy cenę i umówiony procent. Oto cena i umówiony procent. Spodziewam się, że nie masz nic do nadmienia, ja zaś mogę ci tylko podziękować, boś mi oddał wówczas rzeczywistą usługę i — jeśli kiedyś będziesz potrzebował czegoś ode mnie — proszę cię — bez żadnej ceremonii! — proszę

do mnie jak w dym — usługa za usługę! Wiesz, że lubię być wdzięcznym!

— Ta mała poczyła mnie protegować! — pomyślał Polaniecki.

I gdyby nie był u siebie, może wypowiedziałby głośno tę cichą uwagę, lecz się pohamował i rzekł:

— Nic nie mam do nadmienienia, ponieważ taki był kontrakt. Nie traktowałem też tego nigdy jako interesu.

— Tembardziej umiem to cenić — odpowiedział łaskawie Maszko.

— A wogóle, co u ciebie słyhać? — spytał Polaniecki. — Widzę, że plyniesz wszystkimi zagłami. Jak sprawa?

— Ze strony instytucji dobroczynnych występuje jakiś młody adwokacina, nazwiskiem Śledź. Piękne nazwisko, prawda? Gdybym kota tak nazwał, toby trzy dni miauczał. Ale ja tego śledzia opieprzę i zjem. Pytasz: jak sprawa? Sprawa stoi tak, że po jej ukończeniu będę się mógł prawdopodobnie wycofać z adwokatury, która zresztą nie jest zajęciem odpowiednim dla mnie — i osiąść stale w Krzemieniu.

— Z gotówką w kieszeni?

— Z gotówką w kieszeni — i to z grubą! Mam dosyć adwokatury. Ostatecznie, kto wyszedł z ziemi, tego do ziemi ciągnie. To się

dziedziczy razem ze krwią. Ale na teraz dość o tem. Jutro, jak ci powiedziałem, wyjeżdżam i polecam wam moją panią, tembardziej, że pani Krasławska pojechała w tej chwili do okulisty do Wiednia. Wybieram się jeszcze do Osnowskich prosić, żeby również o niej pamiętali.

— Chętnie, owszem! — odpowiedział Połaniecki.

Potem przyszła mu na pamięć rozmowa z Marynią, więc spytał:

— Ty dawno znasz Osnowskich?

— Dość dawno. Chociaż żona moja zna ich jeszcze lepiej. On grubo bogaty człowiek; miał jedynaczkę siostrę, która umarła, i skąpeca stryja, po którym wziął ogromną fortunę. Co do niej — cóż ci powiedzieć? — czytywała jeszcze jako panna co jej w rękę wpadło, miała pretensye do rozumu, do artyzmu — słowem, do wszystkiego, do czego można mieć pretensye, a swoją drogą kochała się w Kopowskim — ot, masz ją całą.

— A pani Broniczowa i panna Castelli?

— Panna Castelli podoba się lepiej kobietom, niż mężczyznom, zresztą nic o niej nie wiem, prócz tego, co mówiono, że tenże Kopowski starał się, czy stara o nią, a pani Broniczowa...

Tu Maszko począł się śmiać:

— Panią Broniczową chedyw wprowadzał osobiście na piramidę Cheopsa, nieboszczyk Alfons hiszpański mówił jej codzień w Cannes: «Bonjour, madame la comtesse!» Musset pisywał jej w 56 roku wiersze w albumie, a Moltke przesiadywał u niej na kufunku w Karlsbadzie — słowem: przez imaginację jeździła na wszelkie koronacye. Teraz, od czasu gdy panna Castelli dorosła, a raczej wybujala na pięć stóp i coś tam cali, ciocia «Ślodyczka» odbywa te imaginacyjne podróże, już nie na własny rachunek, ale siostrzenicy, w czem jej od pewnego czasu pomaga pani Osnowska tak gorliwie, że aż trudno zrozumieć, jaki ma w tem cel. Oto wszystko, chyba, że chcesz wiadomości o nieboszczyku panu Broniczu, który umarł z sześć lat temu, nie wiadomo na jaką chorobę, bo pani Broniczowa za każdym razem wynajduje inną, dodając prócz tego, że był to ostatni z Rurykowiczów, nie dodając zaś, że przedostatni, to jest jego ojciec, był w swoim czasie rządcą u Rdultowskich, i że na nich dorobił się fortuny. No, skończyłem... Vanity's fair!... Bądź mi teraz zdrów, trzymaj mi się dobrze, a w razie potrzeby licz na mnie. Gdybym był pewien, że taka potrzeba prędko zajdzie, zmusiłbym cię

do przyrzeczenia, że się do nikogo innego nie udasz, tylko do mnie. Do widzenia.

To rzekłszy, Maszko uściśnął rękę Polanieckiego z nieopisaną łaskawością — i wyszedł, Polaniecki zaś, wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Dobrze, że mnie nie poklepał po ramieniu!... *Vanity's fair! vanity's fair!* Taki niby sprytny człowiek, a nie widzi takiej samej próżności w sobie, jaką wysmiewa w innych. Jaki on był inny tak jeszcze niedawno! Omal nie przestał udawać, ale jak bieda przeszła, dyabeł wziął górę.

Tu przypomniało mu się, co Waskowski mówił niegdyś o próżności, o komedyanctwie, poczem pomyślał:

— A jednak takim ludziom u nas się powodzi!

XLIII.

Pani Osnowska zapomniała tak zupełnie o swoich «floreńsko-rzymskich» wieczorach, że była zdziwiona, gdy jej je kiedy mąż przypomniał. Jakieś wieczory! ani jej w głowie! Ona ma teraz inne zajęcie, które się nazywa «oswajaniem orła». «Jeśli kto nie widzi, że *orzeł* i Lineta dla siebie stworzeni, to z przeproszeniem męża i pana,

ma bardzo krótki wzrok, ale na to niema rady. Mężczyźni wogóle wielu rzeczy nie rozumieją, bo im brak poczuć! Zawilowski może być pod tym względem wyjątkiem, ale gdyby Marynia Polaniecka powiedziała mu po przyjaźni, żeby się staranniej ubierał i zapuścił brodę, toby było doskonale! Castelka taka nawskroś estetyczna, że ją byle co razi, choć z drugiej strony on ją porywa — mało powiedzieć! — wprost hipnotyzuje!... I przy jej naturze — niema w tem nic dziwnego!»

Pan Osnowski, słuchając takiego szczebiotania, rozpływał się z zachwyty i, korzystając ze sposobności, starał się opanować ręce żony, by je pokrywać pocałunkami aż do łokci; raz jednak zadał jej to zupełnie naturalne pytanie, które i Polaniecki zadał Maryni:

— Powiedz mi, co ci na tem zależy?

A pani Aneta odrzekła z kokieterią:

— *La reine s'amuse!* To nie sztuka pisać książki. Byle trochę talentu — to i dosyć; ale przeprowadzić w życiu to, o czem mówią książki, daleko większa sztuka, a przytem, co za zabawa!...

Po chwili zaś dodała:

— Może też i mam jakiś osobisty cel, a jeśli mam, to niech się go Józio domyśli.

— Powiem do ucha — odpowiedział Osnowski.

Ona zaś nadstawiała ucha z figlarną miną, mrugając przytem z ciekawości swemi fiołkowemi oczyma.

Lecz Osnowski po to tylko zbliżył usta do jej ucha, by je ucałować, za całą zaś tajemnicę powtórzył jedynie:

— *La reine s'amuse!*

I była w tem słuszność. Pani Osnowska mogła mieć swoje osobiste cele w zbliżaniu Zawilowskiego do «Castelki», a swoją drogą to wytwarzanie romansu w życiu i rola małej Opatrzności zajmowały ją i bawiły ogromnie.

W tych opatrznościowych zamiarach wpadała też często i do Maryni Połanieckiej, by się czegoś o «orle» dowiedzieć, i najczęściej wracała z dobrą otuchą, Zawilowski bowiem, chcąc uspić podejrzenia Maryni, coraz więcej mówił z nią o pannie Linecie. Dyplomacya jego okazała się tak skuteczną, że gdy raz pani Osnowska zapytała wprost Marynię, czy się Zawilowski w niej nie kocha, ta odpowiedziała śmiejąc się:

— Musimy się z tem pogodzić, moja Anetko, ale ani we mnie, ani w tobie. Jabłko zostało przyznane Linecie, a nam nie pozostaje nic, tylko albo płakać, albo się pocieszyć.

Z drugiej strony panna Castelli żyła w ustawicznym wmawianiu i poddawaniu tak uczuć,

jak myśli, których sama miłość własna nakazywała jej się nie zapierać. Od rana do wieczora słyszała, że ten «orzel» o szerokich skrzydłach kocha się w niej, że jest u jej nóg, i że taka wybrana, taka wyjątkowa istota, jak ona, nie może być na to nieczułą. Zbyt jej to pochlebiali, by mogła być nieczułą. Malując Koppowskiego, podziwiała wprawdzie zawsze «przepyszne plaszczyzny» na jego twarzy — i lubiła go, bo jej dostarczał pola do rozmaitych *powie-
dzeń*, które powtarzano potem jako dowód sprytu i dowcipu; lubiła go z różnych powodów, ale wszakże i Zawilowski nie był brzydkim chłopcem, choć nie nosił brody i nie ubierał się dość starannie. A przytem tyle mówiono o jego skrzydłach i o tem, że taka dusza, jak jej, powinna go zrozumieć. Mówili to wszyscy, nietylko Anetka! Pani Broniczowa, która nie rozumiała nigdy, jak się mógł ktoś w niej nie kochać, przeniosła później tę nieszczęśliwą pewność siebie na siostrzenicę — i tem samem przyłączyła się do zdania pani Osnowskiej, haftując przytem kanwę rzeczywistości kwiatami własnego pomysłu. Wreszcie i pan Osnowski zapisał się do chóru. Z miłości dla żony, kochał on «Castelkę», panią Broniczową i gotów był kochać wszystko, co miało dalszy lub bliższy związek z «Anetką», więc wziął sprawę do serca. Zawil-

łowski był mu sympatyczny; wiadomości zaś, jakie o nim zebrał, brzmiały pomyślnie. Dowiedział się wogóle o nim tylko tyle, że był odludek, ambitny i uparty we wszystkim, co zamierzy... a oprócz tego skryty i bardzo zdolny; gdy zaś paniom przypadło to wszystko do smaku, jął pan Osnowski zupełnie poważnie rozmyślać: «Czyby to nie było dobrze?» Zachowanie się Zawilowskiego usprawiedliwiała poniekąd poważny pogląd na rzeczy, począł bowiem od niejakiego czasu częściej nawiedzać «wspólny salon» i więcej rozmawiać z panną Llnetą. Czynił wprawdzie to pierwsze zawsze na uprzejme zaproszenia pani Osnowskiej, ale drugie płynęło z jego tylko woli. Pani Aneta zauważyła też, że wzrok jego zatrzymuje się coraz uważniej na złotawych włosach i sennych powiekach Castelki, a oczy jego odprowadzają ją, gdy przechodzi przez salon. On zaś rzeczywiście począł jej się przypatrywać, trochę przez dyplomację, a trochę przez ciekawość.

Rzecz jednak stała się o wiele więcej poważną, gdy wyszedł pierwszy tom jego poezyi. Wiersze już poprzednio zwracały na siebie uwagę, i mówiono o nich dużo, wszelako wrażenie rozdrabniało się przez to, że wychodziły w znacznych odstępach czasu i w rozproszeniu. Teraz książka uderzyła ludzi w oczy. Był w niej

blask, siła i szczerłość. Język miał w sobie niepożytość i wagę metalu, a mimo tego gwał się posłusznie i przybierał wszelkie najsubtelniejsze kształty. Wrażenie rosło. Wkrótce pochwalny pomruk zmienił się w pelen podziwu gwar. Ze zwykłą w takich razach przesadą, wynoszono teraz dzieło nad wartość, a w młodym pocie poczęto przewidywać przyszłego spadkobiercę wielkiej sławy i wielkich buław. Nazwisko jego przeszło z redakcyjnych gabinetów do publiczności. Poczęto o nim mówić wszędzie, zajmować się nim i szukać go, ciekawość zaś stała się tem większa, że osobiście był mało znany. Stary, bogaty pan Zawilowski, ojciec panny Heleny, który miał zwyczaj mawiać, że istnieją może dwie największe plagi na świecie, to jest podagra i ubodzy krewni, powtarzał teraz każdemu, kto go spytał: «Mais oui, mais oui — c'est mon cousin» — i takie oświadczenie miało również swą towarzyską wagę dla wielu osób, a między innymi pierwszorzędną dla pani Broniczowej. Pani Osnowska wraz z panną Castelli przestały cierpieć nawet z powodu mało «gustownej» szpilki w krawacie Zawilowskiego, bo teraz wszystko w nim mogło już uchodzić za oryginalność. Bolało je jeszcze skrycie, że mu było na imię Ignacy. Wolałyby, żeby miał inne, jakoś bardziej odpowiednie do sławy i poezyi;

gdy jednakże pan Osnowski, który z Metz wy-
niósł trochę łaciny, wytłómaczył im, że to zna-
czy «Ognisty», oświadczyły, że jeśli tak, to co
innego — i pogodziły się z Ignacym.

Szczera i wielka radość panowała z powodu
rozgłosu książki u Bigielów, u Połanieckich i
w biurze. W biurze nie było ludzi zazdrosnych.
Stary kasyer, Wałkowski, agent Abdulski i drugi
buchalter, Późniakowski, dumni byli z kolegi,
jakby jego sława opromieniała również i Dom.
Wałkowski mówił nawet: «Ależ zadaliśmy lu-
dziom szyku!» Bigiel rozważał przez dwa dni,
czy Zawilowski może wobec tego wszystkiego
poprzestać na skromnej posadzie w Domu han-
dlowym pod firmą: «Połaniecki i Bigiel», ale
Zawilowski, zapytany przez niego, odpowiedział:

— A to dobre! panie drogi! To za to, że tro-
chę ludzie gadają, chcecie mnie pozbawić ka-
walka chleba i najmilszego w świecie koleżeń-
stwa. Nakładcy nie znalazłem i gdybym nie był
waszym buchalterem, nie mógłbym być książki
wydać.

Na taki argument nie było co odpowiedzieć —
i Zawilowski został w biurze. Bywał tylko coraz
częściej gościem w domu i u Bigielów i u Po-
łanieckich. U Osnowskich nie pokazał się po
wyjściu książki cały tydzień, jak gdyby coś
zbroił. Ale pani Bigielowa i Marynia namawiały

go, żeby poszedł, on zaś miał skrytą ochotę, więc któregoś dnia wybrał się tam na wieczór.

Zastał jednak panie w chwili wyjazdu do teatru. Chciały koniecznie zostać, ale nie zgodził się, i w końcu stanęło na tem, co i pani Anecie i panie Castelli sprawiło widoczną radość, mianowicie, że pojedzie razem z niemi. Tak się też stało: «Józio, jeśli zechce, weźmie sobie bilet do krzesel». I Józio wziął bilet do krzesel. W czasie przedstawienia Zawilowski siedział na przodzie łoży, razem z panną Linetą, bo pani Osnowska uparła się, że razem z panią Broniczową będzie im «matkowała». — «Wy sobie rozmawiajcie o czem chcecie, a jeśli kto przyjdzie, to już ja go tak zaterkoczę, że nie będzie wam mógł przeszkodzić». Oczy ludzkie zwracały się często na tę łożę, gdy się dowiedziano, kto w niej siedzi. I panna Castelli czuła, że otacza ją jakby światło; czuła, że ludzie nie tylko na niego patrzą, ale zarazem pytają się: kto jest ta głowa o złotawych włosach i sennych powiekach, do której on się pochyła i mówi? Sama zaś, spoglądając chwilami na niego, mówiła sobie, że gdyby nie ta zanadto wystająca broda, toby był zupełnie ładny, bardzo delikatny profil, i że tę brodę mógłby przykryć zarost... Pani Osnowska ze swojej strony dzielnie wywiązywała się z obietnicy, i gdy

nadszedł Kopowski, zaterkotała go tak, że za-
ledwie miał czas przywitać się z panną Castelli
i rzec do Zawilowskiego:

— A pan, to pisuje wiersze.

Po dokonaniu zaś tego szczęśliwego odkry-
cia, zdolał jeszcze dodać, ale raczej pod postacią
monologu:

— Jabym ogromnie lubił wiersze, ale dziwna
rzecz, jak tylko czytam wiersze, to zaraz myślę
o czem innem.

Panna Castelli, odwróciwszy ku niemu twarz,
rzuciła mu długie spojrzenie — i niewiadomo,
co przeważało w tem spojrzeniu: złośliwość ko-
biety, czy nagły podziw artystki — albowiem
ta pozbawiona mózgu głowa, wychylając się
z głębi łoży, wyglądała jednak na czerwonym
tle ścian, jak jakiś mistrzowski pomysł ma-
larski.

Po przedstawieniu pani Osnowska nie chciała
puścić Zawilowskiego — i pojechali razem na
herbatę. Za ledwie jednak stanęli w domu, pani
Broniczowa poczęła mu robić wyrzuty:

— Pan jest niegodziwy człowiek, i jeśli Li-
netce się co stanie, to będzie na pańskim su-
mieniu. Dziecko mi nie je, nie śpi, tylko czyta
pana i czyta...

Pani Osnowska zaś natychmiast dodała:

— Tak! Mam i ja się o co skarżyć: zagra-

bila pańską książkę i nie chce nikomu ani na chwilę jej dać, a jak się gniewamy, to wie pan, co odpowiada? — «To moje! to moje!»

A panna Castelli, jakkolwiek nie miała w tej chwili w rękę książki, przycisnęła je do piersi, jakby chcąc czegoś bronić, i odrzekła cichym, miękkim głosem:

— Bo to moje! moje!...

Zawilowski spojrział na nią i uczuł, że coś w nim jakby zadrżało.

Ale wracając późno, przechodził kolo okien Polanieckich, w których się jeszcze świeciło. Po przedstawieniu i rozmowie u Osnowskich, czuł jakiś zawrot głowy. Teraz widok tych okien oprzytomnił go. Doznał nagle takiego błogiego wrażenia, jakiego się doznaje, gdy się myśli o czemś bardzo dobrem i bardzo drogiem. Ogromnie czyste uwielbienie dla Maryni ozwało się w nim z dawną siłą. Ogarnęła go taka łagodna egzaltacya, w której zmysły usypiają, a człowiek staje się niemal wyłącznie duszą — i wrócił do domu, szepcząc ustępy z wiersza «Lilia», najbardziej egzaltowanego, jaki kiedykolwiek napisał.

A u Polanieckich świeciło się jeszcze dlatego, że zaszło coś, co Maryni wydało się owem wyglądanem miłosierdziem bożem.

Wieczorem, po herbacie, siedziała, łamiąc

jak zwykle głowę nad dziennymi rachunkami, gdy nagle złożyła ołówek. Po chwili przybladła — ale zarazem twarz jej stała się jasna — i trochę zmienionym głosem rzekła:

— Stachu!...

Jego zdziwił trochę jej głos, więc zbliżył się i spytał:

— Co tobie jest? Trochęś blada.

— Chodź bliżej, mam ci coś powiedzieć.

I objąwszy rękoma jego głowę, poczęła mu coś szeptać do ucha — a on słuchał, następnie zaś, pocałowawszy ją w czoło, rzekł:

— Tylko się nie wzruszaj, bo sobie możesz zaszkodzić...

Ale i w jego słowach czuć było pewne wzruszenie... Przez czas jakiś chodził po pokoju — przypatrując się żonie — w końcu pocałował ją znów w czoło:

— Ludzie zwykle sobie życzą pierwszego syna, — rzekł — ale ty mi pamiętaj, żeby była córka. Damy jej na imię Litka.

Oboje nie mogli jednak długo usnąć tej nocy — i oto dlaczego Zawilowski widział światło w ich oknach.

XLIV.

Po tygodniu, gdy prawdopodobieństwo stało się pewnością, Polaniecki zwiastował nowinę Bigielom. Pani Bigielowa poleciała jeszcze tegoż dnia do Maryni, która rozplakala się z radości w jej pocziwych ramionach.

— Zdaje mi się, — rzekła — że mnie teraz i Stach będzie więcej kochał?

— Jakto więcej? — spytala pani Bigielowa.

— Chciałam powiedzieć: jeszcze więcej! — odrzekła Marynia. — A zresztą, widzisz, mnie nigdy nie dosyć!

— Miałby ze mną do czynienia, gdyby było nie dosyć!

Tymczasem lży oschły na słodkiej twarzy pani Polanieckiej — i pozostał tylko uśmiech. Po chwili złożyła ręce jak do pacierza i rzekła:

— Ach, Boże, żeby tylko była córka, bo Stach sobie życzy córki!

— A ty cobyś wolala?

— Jabym... tylko nie mów tego Stachowi... jabym wolala chłopca, ale niech będzie córka!

Następnie zamyśliła się i spytała:

— Na to jednak niema rady, prawda?

— Nie — odpowiedziała, śmiejąc się, pani Bigielowa. — Na to jeszcze nie wynaleźli sposobu.

Bigiel zaś ze swojej strony opowiadał nowinę każdemu, kogo napotkał, w biurze zaś rzekł przy Polanieckim, z pewnem namaszczeniem w głosie:

— No, moi panowie, zdaje się, że Dom się powiększy o jednego współnika.

Urzednicy zwrócili na niego pytające spojrzenia, on zaś dodał:

— Dzięki panu Polanieckiemu — i pani Polanieckiej.

Wówczas wszyscy rzucili się do Polanieckiego z życzeniami, z wyjątkiem Zawilowskiego, który, pochyliwszy się nad biurkiem, począł pilnie przeglądać kolumny cyfr — i dopiero po chwili, czując, że jego zachowanie się może zwrócić uwagę, odwrócił się ze zmienioną twarzą ku Polanieckiemu i, uściskawszy mu rękę, począł powtarzać:

— Winszuję, winszuję...

Poczem wydało mu się, że jest komiczny, że coś zapadło mu się na głowę, że mu jest czocho i bezbrzeżnie głupio i że cały świat jest bajecznie płaski. Najgorszem było jednak uczucie własnej komiczności; bo przecie rzecz była tak naturalna i łatwa do przewidzenia, że byłby ją zdolny przewidzieć nawet taki Kopowski. Tymczasem on, człowiek inteligentny, pisujący wiersze, przyjmowane z zapalem, uświadamiający

wszystko, co się wokół dzieje, zapędził się w takie złudzenia, iż mu się teraz zdawało, że w niego piorun trzasł. Co za upokarzająca śmieszność! Ale on poznał Marynię, jako panią Polaniecką, i mimowolnie wyobraził sobie, że ona zawsze była panią Polaniecką, że będzie nią na przyszłość, jak jest w terażniejszości, i wprost nie przyszło mu do głowy, że mogły nadejść jakieś zmiany. I oto, zobaczywszy kiedyś liliowe tony na jej twarzy, nazwał ją sobie Lilią i pisywał do niej liliowe wiersze. A teraz ten utrapiony zmysł, który do każdej przykrości dorzuca jeszcze drwiny, szeptał mu do ucha: «A dobra lilia!...» I Zawilowski czuł się coraz bardziej zgnieciony i coraz bardziej śmieszny. On pisał wiersze, a Polaniecki ich nie pisał. W tem zestawieniu była zarazem i gryząca gorycz i coś błazeńskiego; Zawilowski zaś pił z tego kielicha pełnemi ustami, umyślnie tak, by nie uronić jednej kropli. Gdyby jego uczucia były się wydały, gdyby je był wyznał Maryni, gdyby go odepchnęła była z największą pogardą, a Polaniecki zrzucił ze schodów — byłoby jeszcze w tem coś zakrawającego na dramat. Ale takie zakończenie! — «takie płaskie!...» Miał on naturę odczuwającą wszystko dziesięć razy silniej, niż zwykle natury ludzkie, więc położenie wydało mu się wprost nie do wytrzymania, a te

godziny biurowe, które musiał jeszcze przesiedzieć — męką. Uczucie jego dla Maryni nie tkwiło głęboko w sercu, ale zajęło całkowicie jego wyobraźnię, teraz zaś rzeczywistość uderzyła go nielitościwie dłonią po głowie, uderzenie zaś wydało mu się nietylko bolesne i grubiańskie, ale zarazem szydercze. Przychodziła mu do głowy desperacka myśl: wziąć kapelusz, wyjść i nie wrócić więcej. Na szczęście, nadeszła zwykła godzina zakończenia pracy — i wszyscy zaczęli się rozchodzić.

Zawilowski, idąc przez korytarz, w którym przy wieszadłach było lustro, i ujrawszy swą długą postać i wystającą brodę, powiedział sobie: «Tak wygląda błazen!» Tegoż dnia nie poszedł, jak zwykle, na obiad z drugim buchalterem, Poźniakowskim. Radby był uciec nawet sam przed sobą. Tymczasem zamknął się w domu i z przesadą prawdziwego artysty potęgował do niemożliwych granic swoje nieszczęście i swoją śmieszność. Po kilku dniach jednak uspokoił się, czuł tylko jakąś dziwną pustkę w sercu, tak zupełnie, jakby ono było mieszkaniem, z którego się ktoś wyprowadził. U Polańskich nie pokazał się przez dwa tygodnie, ale po upływie tego czasu zobaczył Marynię na letniem mieszkaniu u Bigielów i zdumiał się.

Wydała mu się prawie brzydka. Nie było

to zupełnie jego uprzedzenie, albowiem, jakkolwiek w postaci jej trudno było jeszcze dopatrzeć różnicy, zmieniła się jednak mocno. Usta miała nabrzmiąle, wyrzuty na czole i straciła świeżość cery. Była przytem spokojna, ale nieco smutna, tak jakby spotkał ją jakiś zawód. Zawilowskiego, który w istocie rzeczy miał dobre serce, wzruszyła ta jej brzydota. Poprzednio zdawało mu się, że nią pogardza. Teraz wydało mu się to głupie.

Zresztą zmieniła się tylko jej twarz, nie dobroć, ani życzliwość. Owszem, czując się teraz zabezpieczoną od zbytniego z jego strony zachwyty, okazywała mu więcej serdeczności, niż dawniej. Wypytywała go z wielkiem zajęciem o pannę Castelli, i gdy spostrzegła, że jest to przedmiot, o którym i on chętnie już rozmawia, poczęła się uśmiechać dawnym, pełnym niewypowiedzianej słodyczy uśmiechem, i rzekła prawie wesoło:

— Dobrze, dobrze! Tam się dziwią, że pan znów dawno nie był — i wie pan, co mi mówiła i Anetka i pani Broniczowa? Mówiły mi...

Ale tu przerwała i po chwili:

— Nie — tego nie mogę głośno powiedzieć. — Pójdziemy trochę do ogrodu...

I podniosła się, ale niedość uważnie, tak, że

potknąwszy się na pierwszym kroku, omal nie upadła.

— Uważaj! — zawołał z niecierpliwością Polaniecki.

A ona poczęła spoglądać na niego prawie ze strachem i pokorą — i zaczerwieniwszy się, odrzekła:

— Stachu, to niechący, jak ciebie kocham!...

— Pan także niech jej nie przestrasza! — rzekła z żywością pani Bigielowa.

Było bowiem tak widocznem, że Polanieckiemu chodziło w tej chwili więcej o przyszłe dziecko, niż o Marynię, że nawet Zawilowski to zrozumiał.

Co do Maryni, było jej to wiadome nie od dzisiejszego dnia. Przeszła z tego powodu przez całą walkę duchową z sobą, o której na razie nie mówiła nikomu, a walka ta była tem trudniejsza, im bardziej stan jej zdrowia wyradzał rozdrażnienie, niepokój i skłonność do posępnych myśli. Przeszła przez ciężkie chwile, nim powiedziała sobie, że tak musi być, jak jest.

Polaniecki byłby wprost zdumiony, gdyby mu ktoś powiedział, że nie kocha, a zwłaszcza, że nie ocenia żony tak, jak powinien. Kochał ją po swojemu, a zarazem sądził, że jeśli kiedy, to teraz im obojgu powinno przedewszystkiem chodzić o dziecko. Będąc z natury żywym i po-

rywczym, posuwał chwilami tę troskliwość za daleko, ale nie poczytywał sobie tego za grzech. Nad tem, co się może dziać w duszy Maryni, nawet się nie zastanawiał. Zdawało mu się, że między innymi jej obowiązkami jednym z pierwszych jest obowiązek dostarczania mu dzieci, że zatem prostą jest rzeczą, iż go spełnia. Był jej za to wdzięczny i wyobrażał sobie, że będąc troskliwym o dziecko, jest tem samem troskliwy i o nią, i tak troskliwy, jak mało który mąż. Gdyby był uznał za stosowne wezwać się do obrachunku co do postępowania z żoną, uważałby również, że jest rzeczą zupełnie naturalną, iż jej urok czysto kobiecy pociąga go teraz mniej, niż przedtem. Z każdym dniem stawała się brzydsza i chwilami razila jego zmysł estetyczny, on zaś mniemał, że, ukrywając to przed nią i starając się jej okazać współczucie, jest tak delikatnym, jak tylko mężczyzna dla kobiety być może.

Ona zaś miała wrażenie, że ta nadzieja, na którą najbardziej liczyła, zawiodła ją; czuła, że schodzi na drugi plan, że będzie schodziła coraz bardziej. I mimo całego uczucia dla męża, mimo skarbów tkliwości, które już zbierały się w niej dla przyszłego dziecka, w pierwszej chwili ogarnął jej duszę bunt i żal. Ale trwało to niedługo. Poczęła z tem walczyć i zmogła się.

Powiedziała sobie, że tu niema niczyjej winy, że takie jest życie i że to wypada z naturalnego porządku rzeczy, który znów jest wynikiem woli bożej. Potem zaczęła sama siebie oskarżać o egoizm i kruszyć się pod ciężarem tej myśli. Czy ona ma prawo myśleć o sobie, nie o Stachu i nie o przyszłym dziecku? Co może Stachowi zarzucić? Co w tem dziwnego, że on, który nawet cudze dzieci tak kochał, ma duszę zajętą teraz przedewszystkiem swoim, że mu serce naprzód do niego bije? Czy niema w tem obrazy boskiej, że ona pozwala sobie dochodzić przedewszystkiem jakichś swoich praw, jakiegoś swego szczęścia, ona, która tyle zawiñila? Kto ona jest i co ma za prawo do jakiegoś wyjątkowego losu? I gotowa była bić się w piersi. Bunt przeszedł; zostało tylko gdzieś, na samym dnie serca, trochę żalu, że życie takie dziwne, i że każde nowe uczucie, zamiast potęgować dawniejsze, odsuwa je w głąb... Ale gdy ten żal cisnął się jej z serca do oczu pod postacią łez, lub poczynał drżeć na ustach, już mu nie pozwalała i na takie ujście: «Cicho mi zaraz! — mówiła sobie w duszy — tak jest, tak będzie i tak trzeba, bo takie jest życie i taka wola boska, z którą musisz się zgodzić». I wreszcie zgodziła się.

Powoli odzyskała nawet spokój, nie zdając

sobie sprawy, że podkładem jego jest rezygnacja i smutek. Był to zresztą smutek, który się uśmiecha. Jako młodej kobiecie, było jej także chwilami przykro, gdy w oczach męża, lub nawet kogoś obcego, wyczytywała nagle wyrażenie: «Ach, jakes ty zbrzydła!» Ale że pani Bigielowa zapewniła ją, że «potem» będzie jeszcze ładniejsza, więc odpowiadała im w duszy: «Poczekajcie!» — i to była jej pociecha.

Odpowiedziała też coś podobnego i Zawilowskiemu. Była zarazem rada i nierada z wrażenia, jakie na nim uczyniła, gdyż jeśli z jednej strony cierpiała na tem trochę jej miłość własna, z drugiej czuła się zupełnie zabezpieczona i mogła z nim swobodnie rozmawiać. Chciała zaś pomówić, i to zupełnie poważnie, albowiem przed kilku dniami pani Aneta Osnowska powiedziała jej wprost, że «Kolumienka» po uszy zakochana, i że Zawilowski ma wszelkie przed sobą widoki.

Ją zaś zaniepokoiło cokolwiek to kucie żelaza na gorąco. Nie umiała sobie zdać sprawy, dlaczego tak jest, nawet biorąc w rachubę wrodzoną porywczosć pani Anety. Dla Zawilowskiego, który stał się niejako Beniaminem obu domów, miała, również jak Bigielowie i Połaniecki, ogromnie wiele przyjaźni — a prócz tego była mu wdzięczna, bądź co bądź bowiem

poznał się na niej. Owóż radaby była mu dopomódz w tem, co zdawało się być dla niego wielkim losem, ale jednocześnie przychodziło jej na myśl: «A nuż to będzie dla niego źle?» Złękła się trochę i odpowiedzialności i swojej własnej poprzedniej polityki. Teraz więc chciała naprzód dowiedzieć się, co też on naprawdę myśli, powtóre dać mu do zrozumienia, jak rzeczy stoją, a nakoniec poradzić mu, by w danym razie sam dobrze patrzył i rozważał.

— Tam się już dziwią, że pan dawno nie był — powtórzyła, gdy wyszli do ogrodu.

Zawilowski zaś spytał:

— Co pani mówiła pani Osnowska?

— Powiem panu tylko jedno, choć nie wiem, czy powinnam to powtarzać. Pani Osnowska mówiła mi, że... Ale nie! Naprzód muszę wiedzieć, czemu pan tak dawno u nich nie był?

— Byłem niezdrów i miałem zmartwienie. Nie bywałem nigdzie. Nie mogłem! Pani sobie przerwała...

— Tak, bo chciałam wiedzieć, czy się pan naprawdę nie pogniewał o co na te panie. Otóż pani Osnowska mówiła mi, że Lineta przypuszcza, że tak jest, i że kilka razy widziała z tego powodu łzy w jej oczach.

Zawilowski zaczerwienił się, poczem na jego

młodej wrażliwej twarzy odbiło się prawdziwe rozczulenie.

— Ach, Boże! — odpowiedział — jabym się miał gniewać, i jeszcze na taką pannę Linetę! Czy ona może kogo obrazić?

— Ja to powtarzam, co mi powiedziano, choć pani Osnowska jest tak żywa, że — nie śmiem ręczyć, czy wszystko, co ona mówi, jest ściśle. Wiem, że nie kłamie — ale pan rozumie, że osoby bardzo żywe widzą czasem rzeczy, jak przez powiększające szkło. Niech pan sam sprawdzi, jak to jest. Lineta wydaje mi się miła, bardzo niepospolita i bardzo dobra — ale niech pan sam sprawdzi. Pan ma tyle zmysłu obserwacyjnego.

— Że jest dobra i niepospolita, to niema wątpliwości. Pamięta pani, jakem mówił, że one czynią mi wrażenie cudzoziemek, ale to nieprawda! Pani Osnowska — może! ale nie panna Lineta!

A Marynia odrzekła:

— Trzeba samemu patrzeć i patrzeć! Rozumie pan, że ja pana do niczego nie namawiam... Bałabym się nawet trochę Stacha, który nie lubi tych pań... Ale szczerze powiem, że jak usłyszałam o łzach Linetki, tak mnie to chwyciło za serce... Biedactwo!...

— Nawet nie umiem pani powiedzieć, jak

mnie wzrusza sama myśl o tem! — odpowiedział Zawilowski.

Dalszą jednak rozmowę przerwał Polaniecki, który, zbliżywszy się, rzekł:

— Cóż? ciągle swaty! Te kobiety są jednak niepoprawne! Wiesz, Maryniu, co ci powiem? Że byłbym najszcześliwszy, gdybyś się w takie rzeczy nie wdawała.

Pani Polaniecka poczęła się tłumaczyć, lecz on, zwróciwszy się do Zawilowskiego, rzekł:

— Ja się tam w nic nie wdaję, ale wiem tylko, że nie mam do tych pań najmniejszego zaufania.

Zawilowski jednak powrócił do domu rozmarzony. Poruszyły się w nim wszystkie struny wyobraźni i poczęły dźwięczeć tak, że ochota do snu odleciała od niego zupełnie. Nie zapalił światła, by mu nic nie przeszkadzało grać na tych rozegranych strunach — i siedząc w blasku księżyca, myślał, a raczej tworzył. Nie kochał się jeszcze, ale ogarniała go już wielka tkliwość, gdy myślał o pannie Castelli — i układał obrazy takie, jakby się już kochał. Widział ją tak wyraźnie, jakby stała przed nim; widział jej czarne oczy i złotawą głowę, pochylającą się, jak podcięty kwiat, aż — na jego piersi. I wydawało mu się, że kładzie palce na skroniach tej głowy, że czuje jedwabne dotknięcie jej włosów

i przechylając się nieco w tył, patrzy, czy pieszczota nie osuszyła łez, a jej oczy śmieją się do niego, jak niebo, jeszcze mokre po deszczu, ale już słoneczne... Potem wyobraźnia poczęła porywać jego zmysły. Wydało mu się, że jej wyznaje miłość, że ją przyciska do piersi i wyczuwa śpieszne bicie jej serca, że klęczy z głową na jej kolanach, od których przez jedwab bije ciepło na jego twarz. I począł naprawdę drżeć. Dotychczas była dla niego obrazem, teraz wyczuł ją po raz pierwszy jako kobietę. Nie było w nim ani jednej myśli, któraby nie była przy niej — i zapamiętał się w niej tak, że stracił poczucie, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Jakiś ochryply śpiew na ulicy zbudził go. Wówczas zapalił światło i począł myśleć trzeźwiej. Zdjął go teraz pewien niepokój, albowiem jedna rzecz wydała mu się niewątpliwą, mianowicie, że jeśli nie zaprzestanie bywać zupełnie u pani Broniczowej i u Osnowskich, to się zakocha w tamtej dziewczynie bez pamięci.

— Trzeba więc wybrać! — mówił sobie.

I nazajutrz poszedł ją zobaczyć — bo począł tęsknić — a teźże jeszcze nocy próbował napisać wiersz pod tytułem «Pajęczyna».

Nie śmiał jednak pójść do pani Broniczowej, więc czekał aż do godziny, w której można

było zastać wszystkich we wspólnym salonie na herbacie. Pani Osnowska przyjęła go z nadzwyczajną serdecznością i z wybuchami wesołego śmiechu, lecz on, przywitawszy się, począł patrzeć na twarz panny Castelli, i serce zabiło mu żywiej, gdy ujrzał, że bije z niej wielka i głęboka radość.

— Wie pan, co ja myślałam? — zawołała ze zwykłą sobie żywością pani Aneta: — nasza «Topółka» tak lubi brody u panów, że myślałam, że pan zapuszcza brodę i dlatego się nie pokazuje.

«Topółka» zaś odrzekła:

— Nie, nie! niech pan zostanie tak, jak pana poznałam.

Lecz pan Osnowski otoczył w pół ramieniem Zawilowskiego i rzekł z tą poufalością dobrze wychowanego człowieka, który umie postawić od razu stosunki na bliższej i serdeczniejszej stopie:

— A, pochował nam się pan Ignas, prawda? Ale ja mam na niego sposób: niech Linetka zacznie jego portret, to musi codzień przychodzić.

Pani Osnowska klasnęła w ręce:

— Jaki ten Józio rozumny, to aż dziw!

Jemu zaś rozpromieniła się cała twarz, że powiedział coś, co podobało się żonie, i począł powtarzać:

— Prawda? co! Moja droga Anetko, prawda?

— Ja już się przymawiałam, — odpowiedziała miękkiem głosem panna Castelli — ale bałam się naprzykrzać.

— Kiedy tylko pani rozkaże — odpowiedział Zawilowski.

— Teraz dzień taki długi: to może o czwartej, po panu Kopowskim. Zresztą niezadługo już skończę tego nieznośnego pana Kopowskiego.

— Wie pan, co ona powiedziała o panu Kopowskim? — zaczęła pani Broniczowa.

Lecz panna Castelli za nic nie pozwoliła jej powiedzieć, zresztą przeszkodził temu pan Pławicki, który właśnie w tej chwili nadszedł i rozbił towarzystwo. Pan Pławicki, poznawszy panią Anetę u Maryni, stracił dla niej głowę, do czego otwarcie się przyznawał, ona zaś kokietowała go, ku wielkiej swojej i innych ucie-sze, bez miłosierdzia.

— Niech tatuś siada, tu koło mnie — rzekła — będzie nam przy sobie dobrze? — co?

— Jak w niebie! jak w niebie! — odpowiedział pan Pławicki, uderzając się raz po raz dłońmi po kolanach i wysuwając z zadowolenia koniec języka.

Zawilowski zaś przysiadł się do panny Castelli i rzekł:

— Taki jestem szczęśliwy, że będę mógł tu

codzień przychodzić... Czy tylko naprawdę nie zajmę pani czasu?

— Owszem, zajmie pan, — odpowiedziała, patrząc mu w oczy — ale zajmie pan tak, jak nikt inny zająćby nie potrafił. Ja naprawdę bałam się tylko naprzykrzać — bo ja się pana boję.

Teraz on zajrzał jej w głąb źrenic i odpowiedział z naciskiem:

— Niech się mnie pani nie boi.

Panna Lineta spuściła powieki, i nastąpiła chwila dość kłopotliwego milczenia; potem panienka spytała trochę przyciszonym głosem:

— Czemu pan tak długo nie przychodził?

On miał na języku odpowiedź: «To ja się boję», ale nie śmiał posunąć się tak daleko, więc odpowiedział:

— Pisałem.

— Wiersz?

— Tak, pod tytułem: «Pajęczyna!» Jutro go przyniosę. Pamięta pani, co pani powiedziała, kiedym panią poznał? że chciałaby pani być pajęczyną. Jam to zapamiętał, i od tej pory ciągle widziałem obraz takiej śnieżnej nitki, która buja po powietrzu.

— Buja, ale nie o własnej sile — odpowiedziała panna Castelli — i nie może zalecieć wysoko, chyba...

— Co? czemu pani nie kończy?

— Chyba że się owinie koło skrzydeł jakiego wielkiego Latawca...

To rzekłszy, panna Lineta nagle wstała i odeszła, by pomódz panu Osnowskiemu, który w tej chwili otwierał okno.

A Zawilowski został sam — z mgłą na oczach. Zdawało mu się przytem, że słyszy, jak mu tętna biją w skroniach.

Oprzytomnił go dopiero miodowy głos pani Broniczowej:

— Parę dni temu mówił mi stary pan Zawilowski, że pan jego krewny, ale, że pan u niego bywać nie chce, a on u pana nie może, bo ma pedogrę. Czemu pan u niego nie bywa? To taki miły i dystyngowany człowiek! Niech pan do niego pójdzie. Jemu to nawet przykro. Pójdzie pan?

— Dobrze, pani, mogę pójść — odpowiedział Zawilowski, który w tej chwili gotów był na wszystko się zgodzić.

— Jaki pan musi być dobry i łatwy. Pozna pan tam swoją kuzynkę, pannę Helenę. Tylko niech się pan nie zakocha, bo to także bardzo dystyngowana panienska.

— Nie, pani, niema niebezpieczeństwa — rzekł, śmiejąc się, Zawilowski.

— Mówią zresztą o niej, że ona się kochała

w tym Płoszowskim, który to się zastrzelił, i że nosi wieczną żalobę w sercu. A kiedy pan do nich pójdzie?

— Jutro, pojutrze. Kiedy się pani podoba.

— Bo widzi pan, oni wyjeżdżają. Lato za pasem! Gdzie pan będzie w lecie?

— Nie wiem, pani. A panie?

Panna Castelli, która przez ten czas wróciła i siadła niedaleko, przerwała rozmowę z Osnowskim i, dosłyszawszy zapytanie Zawilowskiego, odrzekła:

— Nie mamy jeszcze projektu.

— Wybierałyśmy się do Scheveningen, — mówiła pani Broniczowa — ale z Linetką to tak trudno...

I po chwili dodała ciszej:

— Ona taka zawsze otoczona — takie ma szczęście do ludzi, że pan nie uwierzy! Choć, dlaczegoby pan nie miał uwierzyć? Dość na nią spojrzeć. Mój nieboszczyk mąż przepowiadał mi to jeszcze wówczas, gdy ona miała dwanaście lat: «Obaczysz, — mówił — co to będzie za kłopot, jak ona dorośnie!» I jest kłopot, drogi panie, jest kłopot! Mój mąż dużo rzeczy naprzód przewidział... Ale!... Czy ja mówiłam panu, że on był ostatnim z Rur... A tak! mówiłam! Dzieciśmy własnych nie mieli, bo pierwsze nie do-

szło, a on był czterdzieści lat starszy ode mnie — i później był mi raczej... ojcem.

— Cóż mnie to może obchodzić! — pomyślał Zawilowski.

Pani Broniczowa zaś mówiła dalej:

— Mój nieboszczyk mąż zawsze bolał nad tem, że nie ma syna. To jest — był syn, ale przyszedł o połowę drogi za wcześnie... (Tu w głosie pani Broniczowej zadrgały łzy). Trzymaliśmy go czas jakiś w spirytusie... Ach!! co to za smutne wspomnienia! Ile się mąż nacierpiał, że umrze ostatnim z Rur... Mniejsza zresztą z tem! dość, że w końcu przywiązał się do Linetki, jak do rodzonej, i oczywiście, to była najbliższa krewna — i co po nas zostanie, to będzie jej. Może i dlatego ją tak ludzie otaczają... Chociaż — nie! Ja im się nie dziwię. Żeby pan wiedział, co to jednak za męka i dla niej i dla mnie! Dwa lata temu w Nizy, jeden Portugalczyk, hrabia Jao Colimação, krewny Alkantarów, tak stracił głowę, że aż śmiech brał. Albo ten Grek zeszłego roku w Ostendzie!... Syn bankiera z Marsylii, milioner... Jakże to się nazywał?... Linetko, jak to nazywał się ten Grek milioner — ten, co to wiesz?

— Ciociu! — rzekła z widoczną niechęcią panna Lineta.

Lecz ciocia była już w pełnym biegu, jak pociąg puszczony całą siłą pary.

— Aha! przypominam sobie — rzekła: — Kanafaropulos, sekretarz ambasady francuskiej w Brukseli.

Panna Lineta wstała i odeszła do pani Osnowskiej, rozmawiającej przy głównym stole z panem Pławickim, ciocia zaś, odprowadzając ją wzrokiem, rzekła:

— Gniewa się dziecko!... Ona ogromnie nie lubi, jak mówić o jej powodzeniach, a ja nie mogę wytrzymać. Pan mnie rozumie? Patrz pan, jaka ona wysoka! Tak mi wybujala!... Anetka nazywa ją czasem Kolumienką, a czasem Topółką — i prawdziwa z niej Topółka! Cóż dziwnego, że ją ludzkie oczy widzą! Nie wspominałam jeszcze o panu Ufińskim. To nasz wielki przyjaciel. Mój nieboszczyk mąż bardzo go lubił. Pan przecie musiał słyszeć o panu Ufińskim? To ten, co tak sławnie wycina sylwetki z papieru. Cały świat go zna. Nie wiem na ilu dworach wycinał sylwetki, a ostatnim razem wycinał księcia Walii. Był także jeden Węgier...

Pan Osnowski, który siedząc niedaleko, bawił się olóweczkiem przy breloku, to wysuwając go, to zasuwając napowrót, zniecierpliwiał się wreszcie i rzekł:

— Jeszcze ze dwóch takich, kochana ciociu, a będzie wieczorek kostiumowy.

— Właśnie, właśnie! — odpowiedziała pani Broniczowa. — Jeśli o nich wspominam, to dlatego, że Linetka nie chciała ani słyszeć o żadnym. To taka szowinistka! Pan nie ma pojęcia, jaka z tego dziecka szowinistka!

— Niechże jej Bóg da zdrowie — rzekł Zawilowski.

Poczem wstał i począł się żegnać. Na pożegnanie długo zatrzymał dłoń panny Linety, która zresztą odpowiedziała mu równie długim uściskiem.

— Do jutra! — rzekł, patrząc jej w oczy.

— Do jutra... po panu Kopowskim. A nie zapomni pan o «Pajęczynie?»

— Nie, pani, nie zapomnę... nigdy — odpowiedział nieco wzruszonym głosem Zawilowski.

Wyszli razem z panem Pławickim, ale za ledwie znaleźli się na ulicy, gdy staruszek uderzył go zlekka w ramię i, zatrzymawszy się, rzekł:

— Panie młodziku, czy pan wie, że ja wkrótce zostanę dziadkiem?

— Wiem — odpowiedział Zawilowski.

— Tak! tak! — powtórzył z rozkosznym uśmiechem Pławicki — a mimo tego powiem panu tylko tyle: niema, jak młode mężatki!!...

I śmiejąc się, począł go klepać raz po raz po ramieniu, poczem przyłożył koniec palców do ust, pożegnał się i odszedł. Zawilowskiego doszedł tylko zdaleka jego trochę drżący głos:

— Niema nad młode...

Resztę zgłuszył turkot na ulicy.

XLV.

Od tego czasu Zawilowski przychodził codziennie do cioci Broniczowej. Często zastawał jeszcze Kopowskiego, albowiem w ostatnich czasach coś popsulo się w portrecie «Antinouse». Panna Lineta mówiła, że nie zdołała jeszcze wszystkiego z tej twarzy wydobyć, że może wyraz jest nie taki, jak być powinien — słowem: potrzebowała czasu do namysłu. Z Zawilowskim szło jej łatwiej.

— W takiej głowie, jak pana Kopowskiego — rzekła raz — dość jest zmienić najmniejszą linię, dość położyć niewłaściwie światło, żeby wszystko przepadło. Tymczasem w panu Zawilowskim trzeba chwycić przede wszystkim charakter.

Słyszając to, obaj byli zadowoleni. Kopowski oświadczył nawet, iż to nie jego wina, że go takim Pan Bóg stworzył. Pani Broniczowa opo-

wiadala później, że panna Lineta rzekła z tego powodu: «Bóg go stworzył, Syn Boży odkupił, ale Duch Święty zapomniał go oświecić». Dowcip ten powtarzano o biednym panu Kopowskim w całej Warszawie.

Zawilowski dość go lubił. Po kilku spotkaniach wydał mu się tak bezdennie ograniczony, iż nie przyszło mu do głowy, żeby można być o niego zazdrosnym. Natomiast, zawsze miło było na niego patrzeć. Te panie lubiły go również, chociaż często pozwalały sobie z niego żartować, a czasem służył im wprost za piłkę, którą przerzucały sobie z rąk do rąk. Glupota Kopowskiego nie była zresztą ani posepna, ani podejrzliwa. Humor posiadał jednostajny i istotnie precudny uśmiech, o czym może wiedział, więc wolał się uśmiechać, niż marszczyć. Był dobrze wychowany, obyty w świecie, a przytem ubierał się wyśmienicie i pod tym względem mógł Zawilowskiemu służyć za mistrza.

Zadawał też od czasu do czasu zdumiewające pytania, które napelniały uciechą młode panie. Raz, słysząc panią Broniczową mówiącą o poetyckich natchnieniach, spytał Zawilowskiego: «Czy na to co trzeba, czy nie trzeba?» — i w pierwszej chwili zmieszal go, albowiem ten nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

Kiedyś znów pani Aneta rzekła mu:

— Czy pan pisał kiedy wiersze? Niech pan dobierze jaki rym!

Kopowski zażądał, żeby mu zostawiono czas do jutra. Ale nazajutrz zapomniał, albo też i nie znalazł, te panie zaś były tak dobrze wychowane, że mu nie przypomniały obietnicy. Tak zawsze przyjemnie było na niego patrzeć, że nie chciały mu robić przykrości.

Tymczasem kończyła się wiosna, a nadchodziły wyścigi. Zawilowski był zaproszony na cały ich czas do powozu państwa Osnowskich; dawano mu miejsce naprzeciw panny Linety. I podziwiał ją z całej duszy. W jasnych toaletach, w jasnych kapeluszach, z uśmiechem w czarnych oczach, ze swoją spokojną twarzą, zarumienioną nieco pod tchnieniem świeżych powiewów, wydawała mu się wiosną i rajem. Wracając do domu, miewał jej pełne oczy, pełną myśl i pełne serce. W tym świecie, w którym one żyły, w towarzystwie tych młodych ludzi, którzy zbliżali się do powozu, by bawić te panie, bywało mu nieswojo, ale jej widok wynagradzał mu wszystko. Pod wpływem słonecznych dni, pogody, szerokich letnich powiewów i tej młodej dziewczyny, która poczynała mu być drogą, żył jakby w ciągłym upojeniu. Czuł w sobie młodość i siłę. W twarzy jego bywało czasem istotnie coś orlego. Chwilami zdalo mu

się, że jest rozbujanym dzwonem, który bije i bije i głosi radość życia, radość miłości, radość szczęścia — wielki odpust kochania. Pisywał też dużo i pracował tak łatwo, jak nigdy, a w wierszach jego był jakby ezerstwy zapach świeżo zoranych zagonów, jakby bujność młodych liści, jakby szum skrzydeł ptaków nadlatujących na ugory — i ogromna szerokość łąk i pól. Poczul się w swej mocy i przestał się wstydzić poezyi nawet przed obcymi, bo zrozumiał, że w nim coś jest, że coś tkwi, i że ma co podłożyć pod kochane stopy.

Polaniecki, który, mimo swego kupiectwa, miał niepohamowaną namiętność do koni i nie opuszczał nigdy wyścigów, widywał go przez wszystkie dni w towarzystwie Osnowskich i panny Castelli, zapatrzonogo w nią jak w tęczę, i kiedyś w biurze poczał go prześladować, że się kocha, na co Zawilowski odpowiedział:

— To nie ja, to moje oczy; ale państwo Osnowscy wkrótce wyjadą, te panie także — i wszystko minie jak sen.

Nie mówił jednak prawdy, bo już nie wierzył sam, by wszystko mogło minąć jak sen. Przeciwnie, czuł, że zaczęło się dla niego nowe życie, które wyjazd panny Castelli może złamać.

— A dokąd wybiera się pani Broniczowa z panną Castelli? — pytał dalej Polaniecki.

— Przez resztę czerwca i przez lipiec zabawią u państwa Osnowskich, a potem jadą jakoby do Scheveningen, ale to jeszcze niepewne.

— Przytułów Osnowskich o trzy mile od Warszawy — rzekł Polaniecki.

Zawiłowski od kilku już dni zadawał sobie z biciem serca pytanie, czy go zaproszą, czy nie; gdy go jednak zaprosili i w dodatku bardzo uprzejmie, nie obiecał im i przy wszelkich zapewnieniach wdzięczności począł się drożyć, tłumacząc się zajęciami i brakiem czasu. Panna Castelli słuchała z boku, podnosząc w górę swoje złotawe brwi, a gdy wychodził, zbliżyła się ku niemu i rzekła:

— Czemu pan nie chce przyjechać do Przytułowa?

On zaś, spostrzegłszy, że nikt ich nie słucha, odrzekł, patrząc jej w oczy:

— Boję się.

Wówczas począła się śmiać i, powtarzając słowa Kopowskiego, spytała:

— Czy na to co trzeba, czy nie trzeba?

— Na to trzeba, — odpowiedział nieco drżącym głosem — by mi pani powiedziała: «Przyjedź!»

Ona zawahała się jeszcze przez chwilę; może

nie śmiała mu powiedzieć tak wprost i w tej formie, jak on tego żądał, nagle jednak zarumieniła się i wyszeptwała:

— Przyjeźdź!

Potem uciekła, jakby wstydząc się tych kolorów, które pomimo mroku były coraz widoczniej jej na twarzy.

Zawilowskiemu, gdy wracał do domu, zdawało się, że pada deszcz gwiazd.

Wyjazd Osnowskich miał jednak nastąpić dopiero za dziesięć dni. Przedtem malowanie portretu szło zwykłym trybem i miało tak iść aż do ostatniego dnia, albowiem panna Lineta nie chciała tracić czasu. Pani Osnowska namówiła ją, by wyłącznie malowała Zawilowskiego, ponieważ Kopowski potrzebuje już tylko kilku posiedzeń, które będzie można urządzić w Przytulowie, przed samym ich wyjazdem do Scheveningen. Dla Zawilowskiego owe posiedzenia stały się teraz jakby pierwszą potrzebą życia — jeśli wypadkiem zaszła jaka przeszkoda, uważał taki dzień za stracony. Pani Broniczowa bywała najczęściej obecna przy malowaniu. Zawilowski odgadywał w niej jednak duszę przyjazną, i w końcu sposób, w jaki mówiła o paninie Linecie, począł mu być miły. Oboje układali wprost hymny na cześć panny Linety, którą w poufnej rozmowie pani Broniczowa nazywała

«Niteczką». Zawilowskiemu podobalo się to miano tembardziej, im wyraźniej czuł, jak ta «Niteczka» obwija mu się koło serca.

Częstokroć jednak wydawało mu się, iż pani Broniczowa opowiada rzeczy nieprawdopodobne. Że panna Lineta była i mogła być najzdolniejszą uczennicą Świrskiego, że Świrski mógł ją nazywać «La Perla», że mógł się w niej, jak pani Broniczowa dawała do zrozumienia, kochać — w to wszystko było łatwo uwierzyć; ale żeby ów Świrski, znany w całej Europie i nagradzany wielkimi medalami na wszystkich wystawach, miał oświadczyć ze łzami na widok jakiegoś szkicu panny Linety, że poza techniką — onby raczej mógł brać od niej lekcyę, o tem nawet Zawilowski pozwalal sobie wątpić. I gdzieś, w jakimś kącie duszy, w którym zatailo się jeszcze trochę trzeźwości, dziwil się, że panna «Niteczka» wprost temu nie zaprzecza i poprzestaje na zwykłych w takich razach słowach: «Ciociu! wiesz, że ja nie lubię, jak takie rzeczy powtarzasz!» Wreszcie jednak stracił i te ostatnie przeblyski trzeźwości, począł się rozczulać nad nieboszczykiem Broniczem, a panią Broniczową niemal pokochał, za to tylko, że mógł rozmawiać z nią od rana do wieczora o pannie Castelli.

Wskutek powtarzających się nalegań pani

Broniczowej, odwiedził także w tych czasach starego pana Zawilowskiego, owego Krezusa, u którego przedtem nie bywał. Stary szlachcic, o białych jak mleko wąsach, rumianej cerze i obciętych krótko siwych włosach, przyjął go z nogą na fotelu i z pewną wielkopańską poufalością człowieka, który przywykł do tego, że się ludzie więcej z nim liczą, niż on z nimi.

— Przepraszam, że nie wstaję, — rzekł — ale pedogra, nie żarty... Ha, cóż robić! Puścizna! Zdaje się, że to już będzie po wiek wieków przywiązane do nazwiska. A ty miewasz czasem lupania w wielkim palcu?

— Nie — odpowiedział Zawilowski, cokolwiek zdziwiony zarówno sposobem przyjęcia, jak i tem, że stary szlachcic mówi mu od pierwszego widzenia: ty.

— Poczekaj, przyjdzie starość!

Poczem, zawoławszy na córkę, przedstawił jej Zawilowskiego i począł rozmawiać o stosunkach rodzinnych, wykazując młodemu człowiekowi, w jaki sposób są krewni. W końcu rzekł:

— No, ja tam wierszy nie pisywałem, bom na to za głupi, ale muszę ci powiedzieć, żeś mi się popisał — i żem się nie wstydził, chociażem wyczytał moje nazwisko pod wierszami.

Odwiedziny nie miały się jednak skończyć pomyślnie. Panna Zawilowska, osoba lat nie-

spelną trzydziestu, ładną, ale jakby przedwcześnie zwiędła i posepna, chcąc wziąć udział w rozmowie, poczęła wypytywać «kuzyna», kogo zna i gdzie bywa, a stary szlachcic do każdego wymienionego nazwiska dodawał w jednym lub dwóch słowach swoją opinię. Przy wymienieniu Połanieckich powiedział: «Dobra krew!» — przy Bigielach spytał: «Jak?», a gdy Zawilowski powtórzył ich nazwisko, dodał: «Connais pas!» — panią Osnowską określił jednym słowem: «Dzierlatka!» — przy pani Broniczowej mruknął: «Furfantka!» — nakoniec, gdy młody człowiek wymienił z pewnem zmieszaniem pannę Castelli, szlachcic, którego w tej chwili lupnęło widocznie w nodze, skrzywił się okropnie i zawołał:
— Aj! Póldyablę weneckie!

Na to Zawilowskiemu, który, mimo swej nieśmiałości, był człowiekiem popędliwym, zaćmiło się w oczach, wystająca i tak dolna szczeka wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, począł starego człowieka mierzyć wzrokiem od chorej nogi, aż do głowy — i rzekł:

— Pan masz sposób wydawania doraźnych sądów, który mi się nie podoba, dlatego miło mi go pożegnać.

I skłoniwszy się, porwał za kapelusz i wyszedł.

Stary pan Zawilowski zaś, który przywykł

sobie na wszystko pozwalając i któremu wszystko uchodziło, patrzył czas jakiś z osłupieniem na córkę i dopiero po długim milczeniu zawołał:

— Co on się «wścik?»

Młody człowiek nie opowiedział pani Broniczowej tego, co zaszło. Wspomnił tylko, że był z wizytą, i że ojciec i córka zarówno mu się nie podobali. Dowiedziała się jednak o wszystkim od samego starego Zawilowskiego, który zresztą nawet w oczy nie nazywał panny Castelli inaczej, tylko «Póldyablę weneckie».

— Naslalaś mi pani za to całego dyabła — rzekł jej; — dobrze, że mi głowy nie rozbił.

W głosie jego przebijało jednak jakby pewne zadowolenie, że to *Zawilowski* okazał się taki czupurny, ale pani Broniczowa, nie zauważywszy tego odcienia, wzięła rzecz nieco do serca i ku wielkiemu zadziwieniu «całego dyabła», rzekła mu:

— On przepada za Linetką, i to jest u niego rodzaj pieszczoty, a przytem człowiekowi, mającemu taką pozycyę i w tym wieku, dużo trzeba przebaczyć. Pan musiał nie czytać powieści Kraszewskiego: «Póldyablę weneckie...» To jest przezwanie, w którym jest od tego czasu pewna poezya... Jak się staruszek udobrucha, niech pan do niego parę słów napisze — dobrze? Takie stosunki trzeba podtrzymywać...

— Pani, — odpowiedział Zawilowski — nie napiszę za nic w świecie!

— Nawet gdybym nietylko ja o to prosiła?

— To jest... kamieniem znów nie jestem.

Panna Castelli uśmiechnęła się, słuchając tych słów. W duszy podobało się jej jednak, że Zawilowski po jednym słowie o niej, które wydało mu się ubliżającym, skoczył tak, jakby usłyszał bluźnierstwo. To też, przy pozowaniu, gdy na chwilę zostali sami, rzekła mu:

— Dziwna rzecz, jak ja mało wierzę w szczerłość ludzką... Tak mi trudno uwierzyć, żeby ktoś, prócz cioci, był mi prawdziwie życzliwy.

— Czemu pani?

— Nie wiem. Sama nie umiem sobie zdać z tego sprawy.

— A naprzykład państwo Osnowscy? Pani Aneta?

— Pani Aneta? — powtórzyła panna Castelli.

I poczęła pilnie malować, jakby zapomniała o pytaniu.

— A ja, pani? — spytał ciszej Zawilowski.

— Tak! — odrzekła — pan, tak! Pan jeden, jestem pewna, nie pozwoliłby o mnie nikomu źle mówić. Ja czuję, że pan mi jest szczerze życzliwy, choć nie wiem dlaczego, bo ja wogóle tak mało jestem warta...

— Pani mało warta! — zawołał, zrywając

się, Zawilowski. — Niechże pani pamięta, że ja naprawdę nie pozwalam nikomu o pani źle mówić, nawet jej samej.

Panna Castelli uśmiechła się i rzekła:

— Dobrze, ale niech pan siada, bo nie mogę malować.

On siadł, lecz patrzył na nią wzrokiem tak pełnym miłości i zachwytu, że poczęło ją to mieszać.

— Co za nieposłuszny model! — rzekła — niech pan odwróci głowę trochę na prawo i nie patrzy na mnie.

— Nie mogę! nie mogę! — odpowiedział Zawilowski.

— A ja, doprawdy nie mogę malować. Głowa zaczęła w innej pozycji... Niechże pan poczeka...

To rzekłszy, zbliżyła się i, dotknąwszy palcami jego skroni, poczęła odwracać mu zlekka głowę na prawo. Lecz jemu serce jęło bić jak młotem, wszystko zakręciło mu się w oczach i, przytrzymawszy rękę panny Castelli, przycisnął do ust jej ciepłą dłoń.

— Co pan robi? — szepnęła panna Lineta.

On wciąż trzymał jej dłoń na ustach — i nie odpowiadał nic — tylko przyciskał ją coraz silniej.

Wówczas ona rzekła śpiesznie:

— Niech pan pomówi z ciocią... My jutro wyjeżdżamy.

I nie mogli sobie powiedzieć nic więcej, albowiem w tej chwili Osnowski, Kopowski i pani Aneta, którzy poprzednio siedzieli w przyległym saloniku, wrócili do pracowni.

Pani Aneta, spostrzegłszy zarumienione policzki panny Castelli, spojrziała bystro na Zawilowskiego i rzekła:

— Jakże państwu dziś idzie?

— Gdzie ciocia? — spytała panna Castelli.

— Wyjechała z wizytami.

— Dawno?

— Kilka minut temu. Jakże państwu dziś poszło?

— Dobrze, ale na dziś już dosyć.

To rzekłszy, panna Lineta złożyła pendzle i po chwili poszła do siebie, by umyć ręce. Zawilowski zabawił jeszcze czas jakiś, odpowiadając mniej więcej przytomnie na pytania, które mu zadawano, ale miał ochotę odejść. Bał się rozmowy z panią Broniczową i, zwyczajem tchórzów, pragnął ją odłożyć do jutra. Chciał przytem zostać na chwilę sam ze swemi myślami, uładzić je, ocenić lepiej doniosłość tego, co się stało, w tej chwili bowiem miał w głowie tylko jakby chaos mętnych pojęć, że stało się coś niesłychanego, coś, od czego zacznie się nowa

epoka w jego życiu. Na samą myśl o tem, przejmował go dreszcz szczęścia, ale zarazem i strach, czuł bowiem, że teraz nie czas się już cofać, że trzeba iść naprzód przez miłość, przez wyznania, przez oświadczenie się pannie i rodzinie, aż do ołtarza. Pragnął tego całą duszą, ale tak przywykł wszystko, co jest szczęściem, uważać za poetyczne urojenie, za coś należącego wyłącznie do świata myśli, sztuki i marzeń, że prawie nie śmiał uwierzyć, by panna Castelli została naprawdę jego żoną. Tymczasem ledwie mógł dosiedzieć, i gdy Lineta wróciła, począł się żegnać.

Ona podała mu swą ochłodzoną w zimnej wodzie rękę i rzekła:

— Nie zaczeka pan na ciocię?

— Muszę odejść, a jutro pożegniam się z panią i panią Broniczową.

— Więc do widzenia!

Pożegnanie to wydało się Zawilowskiemu, po tem co zaszło, tak nieodpowiednie i chłodne, że ogarniała go rozpacz. Ale nie śmiał żegnać się przy ludziach inaczej, tem bardziej, że pani Aneta patrzyła na niego z niezwykłą uwagą. Na odchodnym pan Osnowski rzekł mu:

— Czekaj pan. Mam coś do załatwienia w mieście, więc pójdziemy razem.

I wyszli. Ale zaledwie znaleźli się przed

bramą willi, pan Osnowski zatrzymał się, położył mu rękę na ramieniu i z przekorną miną zapytał:

— Panie Ignasiu! a czy nie pokłóciliście się trochę z Linetą?

Zawilowski spojrzał na niego wielkimi oczyma:

— Ja? z panną Linetą?

— Bo tak jakoś pożegnaliście się chłodno. Myślałem, że ją pan przynajmniej w łapkę po-caluje!

Oczy Zawilowskiego stały się jeszcze większe, pan Osnowski zaś począł się śmiać i rzekł:

— No, to powiem panu prawdę! Żona moja, jako to kobietka ciekawa, podglądała was i widziała, co się stało. Mój panie Ignasiu, masz pan we mnie ogromnego przyjaciela, który prócz tego wie, co to znaczy kochać. I jedno tylko panu mogę powiedzieć: daj ci Boże być tylko tak szczęśliwym, jak ja jestem!

To rzekłszy, począł potrząsać jego dłonią, a Zawilowski, chociaż zmieszany do najwyższego stopnia, ledwie się powstrzymał, żeby mu się nie rzucić na szyję.

— Czy pan naprawdę masz dziś coś do roboty? Dlaczegoś odszedł?

— Otwarcie panu powiem, potrzebowalem myśli zebrać, a przytem zdjął mnie strach przed panią Broniczową.

— To pan cioci nie znasz. Jej także się w głowie pali. Odprowadźże mnie kawalek drogi, a potem wracaj do nas bez ceremonii. Wracając, zbierzesz właśnie myśli, przez ten czas wróci pani Broniczowa i powiesz do niej mówkę, przy której się rozplacze. Nic innego ci nie grozi. Pamiętaj także, że jeśli ci będzie dobrze, to będziesz głównie winien wdzięczność mojej Anetce, bo dalibóg, że tak *montowała* głowę Castelce, jakby była pańską rodzoną siostrą. To już taka szalona główka, a zarazem takie poczciwe serce! Równie dobre kobiety może istnieją, ale lepszej niema na świecie... Nam się trochę zdawało, że ten głuptaś Kopowski ma się ku Castelce, i Anetkę gniewało to ogromnie. One lubią Kuposia, ale pozwolisz, że wyjść za takiego — toby było nadto.

Tak gawędząc, wziął Zawilowskiego pod rękę i po chwili począł znów mówić:

— Dajmy też sobie pokój z tytułowaniem się per pan. Mamy przecie zostać krewniakami. Muszę ci jeszcze to powiedzieć: nie wątpię, że Castelka kocha cię najserdeczniej, bo to też poczciwe stworzenie. Ale swoją drogą, tak jej zawracano tobą głowę, a ona taka jeszcze młoda, że dorzucaj dREW na ten ogień... dorzucaj!... Rozumiesz!... Trzeba, żeby się to wkorzeniło — co powinno łatwo przyjąć, bo to istotnie niezwykła

natura. Nie myśl, żebym cię chciał przestrzegać, albo straszyć. Nie! Chodzi tylko o ugruntowanie rzeczy. Że ona cię kocha, to nie ulega wątpliwości. Żebyś ty ją był widział, jak ona nosiła się z twoją książką, albo co się z nią działo wówczas, gdy wróciliście z teatru! Przyszła mi wtedy do głowy głupia myśl. Powiedziałem, żem słyszał, iż stary Zawilowski dlatego tak chciałby cię poznać, że ma zamiar ożenić cię ze swoją córką, żeby majątek nie wyszedł z nazwiska — i, wyobraź sobie, że to biedactwo, jak to usłyszało, tak zrobiło się blade, jak papier. Ażem się przestraszył i co prędzej odwołałem. Cóż ty na to?

Zawilowskiemu chciało się śmiać i płakać, tymczasem przyciskał tylko z całej siły do boku rękę trzymającego go pod ramię Osnowskiego i po chwili rzekł:

— Anim ja jej wart, ani...

— No — i co po tem drugim: «ani?» — może chciałeś powiedzieć: «ani jej tak kocham!»

— Bogdaj tak! — odpowiedział Zawilowski, podnosząc w górę oczy.

— No, to wracajże teraz i ulóż sobie mówkę do cioci Broniczowej. Nie bój się być nadto patetycznym. Ona to lubi!... Do widzenia, Ignaś! Ja za jaką godzinę wrócę, i będziemy mieli za ręczynowy wieczorek.

Tu poczeli się ścisnąć za ręce z uczuciem istotnie braterskiem, przyczem pan Osnowski rzekł:

— Powtarzam ci jeszcze raz: daj ci Boże znaleźć w Castelce taką tylko żonę, jak moja Anetka!

Zawilowski, wracając, myślał, że pan Osnowski jest jeden anioł, pani Osnowska drugi, pani Broniczowa trzeci, a panna Lineta unosi się nad nimi wszystkimi na archanielskich skrzydłach, jak świętość, jak coś bożego. Zrozumiał teraz, że serce kochać może aż do bólu. W duszy klęczał u jej kolan, bił głową u jej nóg, kochał ją, ubóstwiał, a jednocześnie do tych wszystkich uczuć, które w nim grały, jakby jeden wielki hejnał, dołączyło się uczucie takiej tkliwości, jak gdyby ta uwielbiona kobieta była zarazem dzieckiem, jedynem i ogromnie kochanem, ale jeszcze malutkiem i potrzebującym opieki. Przypominał sobie opowiadanie Osnowskiego, jak pobladła, gdy jej powiedziano, że chcą go ożenić z inną — i w duszy powtarzał sobie: «A moja ty, a moja!...» — I rozczulał się bez miary, a wdzięczność zalewała mu tak serce, iż zdawało mu się, że życiem całym nie wypłaci się jej za tę jedną chwilę bladości. Czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy, i chwilami ogrom tego szczęścia niemal przerażał go. Przedtem był

teoretycznym pesymistą, obecnie zaś rzeczywistość zadawała tak dalece kłam tym naleciałym teoryjom, iż trudno mu było uwierzyć, by się mógł do tego stopnia omylić.

Tymczasem wracał do willi, wciągając po drodze w nozdrza zapach kwitnących jaśminów i mając jakieś mętne poczucie, że ta upajająca woń nie jest niczem zewnętrznem, ale prosto cząstką i składnikiem jego szczęścia. Po drodze mówił sobie: «Co to za ludzie, co to za dom, co za rodzina! Tylko między nimi mogła się wychować ta moja Biała!» Patrzył przytem na zachodzące wśród wieczornego spokoju słońce, na zlociste firanki zórz, poprzewiązywane taśmami z purpury, i ten spokój począł go ogarniać. W tych niezmiernych światłach uczuł niezmierną łaskę i dobroć, które patrzą na świat, koją go i błogosławią. Nie modlił się wprawdzie słowami, ale wszystko śpiewało mu w duszy jakby jedną dziękczynną modlitwę.

Przy bramie willi, ocknąwszy się jak ze snu, spostrzegł starego służącego Osnowskich, który patrzył sobie na przejeżdżające powozy.

— Dobry wieczór, Stanisławie! — rzekl. — A pani Broniczowa nie wróciła?

— Właśnie wyglądam: tylko co starszej pani nie widać.

— Panie są jeszcze w salonie?

— Są — i pan Kopowski też.

— A kto mi otworzy?

— Tam otwarte, ja ino na chwilę zeszedłem.

Zawiłowski poszedł na górę — ale nie znalazłszy we wspólnym salonie nikogo, przeszedł do pracowni. Tam było jednak również pusto, natomiast z przyległego mniejszego pokoiku doszły go przez portyere, przedzielającą ów salonik od pracowni, jakieś ciche głosy.

W przypuszczeniu, że znajdzie tam obie panie wraz z Kopowskim, uchylił portyere — i spojrzawszy, skamieniał.

Panny Castelli nie było w saloniku, natomiast Kopowski klęczał przed panią Osnowską, która, trzymając ręce zanurzone w jego bujnych włosach, odchyłała mu w tył głowę, zniżając jednocześnie swą twarz, jakby dla złożenia na jego czole pocałunku.

— Aneto! jeśli mnie kochasz! — mówił zdławionym przez namiętność głosem Kopowski.

— Kocham! Ale nie! ja tego nie chcę! — odpowiedziała pani Osnowska, odsuwając go nieco od siebie.

Zawiłowski mimowolnym ruchem zapuścił portyere; przez chwilę stał przed nią, jakby nogi jego stały się naraz ołowiane, wreszcie, nie zdając sobie dobrze sprawy, co robi, przeszedł pracownię, której gruby dywan zgłuszył,

jak i poprzednio, jego kroki, przeszedł główny salon, przedpokój, schody i znalazł się w bramie willi.

— Jaśnie pan wychodzi? — spytał stary służący.

— Tak — odrzekł Zawilowski.

I zaczął iść tak szybko, jakby uciekał. Po chwili jednak stanął i rzekł głośno do siebie:

— Czym ja nie oszalał?

I nagle wydało mu się to możliwem, poczuł bowiem, że traci wątek myśli, że nie umie zdać sobie z niczego sprawy, że nic nie rozumie i niczemu nie wierzy. Coś poczęło się w nim rwać, coś walić. Jakto? więc ten dom, o którym przed chwilą myślał, że jest jakimś błogosławionym przybytkiem wyjątkowych dusz, kryje zwykły fałsz, zwykłą lichosć, zwykle brudy życiowe — nędzną i zarazem haniebną komedye? I taką atmosferą oddycha, w takim żyje otoczeniu, z takimi istotami przestaje jego Lineta — jego «Biała?» Tu przypomniały mu się słowa Osnowskiego: «Daj ci Boże znaleźć w Castelce taką tylko żonę, jaką ja znalazłem w mojej Anecie!» «Dziękuję!» — pomyślał Zawilowski — i mimo-woli zaczął się śmiać. Zło, ni brud, nie były mu nowiną: widział je i wiedział, że istnieją; ale po raz pierwszy życie ukazywało mu je z taką nie-miłosierną ironią, przez którą ów pan Osnowski,

człowiek, który mu okazał serce brata, człowiek uczciwy, człowiek prawy, dobry, jak mało ludzi w świecie, wydał mu się zarazem błaznem, rodzajem wzniosłego durnia — wzniosłego przez wiarę i uczucie — durnia przez kobietę. I po raz pierwszy również ujrzał jasno, co może licha i nędzna kobieta zrobić z człowieka — bez jego winy. Otworzyły się przed nim nowe, straszliwe widnokregi życiowe — całe krainy, których istnienia nie przypuszczał, rozumiał bowiem dotąd, że zła kobieta może człowieka wysssać jak pająk i zabić — wydawało mu się to demonicznym, ale nie przypuszczał, że może go przytem zblaźnić. Z tą myślą nie umiał sobie dać rady. A jednak ów pan Osnowski, życzący mu, by był szczęśliwym ze swoją przyszłą, jak on z Anetą — był śmieszny. Na to także nie było rady. Nie wolno tak kochać, by aż do tego stopnia się zaślepić.

Tu myśli Zawilowskiego przeniosły się do Linety. W pierwszej chwili miał poczucie, że od tego brudu w domu Osnowskich i od tego zwątpienia, które zrodziło się w jego sercu, padł jakiś cień i na nią. Po chwili poczał sobie jednak wyrzucać to wrażenie, jako profanację, jako zbrodnię obrażonej niewinności, jako pokalanie myślą równie czystej jak kochanej istoty i jej anielskich piór. Chwyciło go oburzenie na

siebie samego. «Czy taki gołąb domyśla się nawet złego?» — pytał w duszy. I miłość jego wzmogła się jeszcze bardziej na myśl, że «takie przeczyste dziecko» musi ocierać się o zepsucie. Chciałby był odsunąć ją jak najprędzej od pani Osnowskiej, osłonić ją od jej wpływu, porwać na ręce i wynieść z tego domu, w którym niewinne jej oczy mogły się otworzyć na zło i zepsucie. Demon jakiś szeptał mu wprawdzie chwilami do ucha, że i pan Osnowski tak wierzy, jak on, że dalby krew własną w zakład za uczciwość żony, że każde zwątpienie poczytałby także za profanację swej świętości. Lecz Zawilowski odpędzał ze zgrozą te podszepty. «Dość spojrzeć w jej oczy» — mówił sobie. I na samo wspomnienie o tych oczach, gotów był bić się w piersi, jakby ciężko zgrzeszył. Był też zły na siebie, że wyszedł, że nie doczekał pani Broniczowej i nie pokrzepił się widokiem Linety. Wspomniał teraz, jak przyciskał usta do jej dłoni, i jak ona, mieniając się ze wzruszenia, mówiła mu: «Niech pan pomówi z ciocią». Ile było anielskiej prostoty i czystości w tych słowach! jaka prawość duszy, która, kochając, chce, by wolno jej było wobec całego świata kochać! Zawilowskiego, gdy o tem myślał, brała ochota wrócić, czuł jednak, że nadto był wzburzony i że poprzedniej swej bytności, jeśli słu-

żący o niej wspomniał, nie potrafilby usprawiedliwić.

Potem znów mu stanął przed oczyma obraz Kopowskiego, klęczącego przed panią Osnowską, i począł się siebie pytać: co ma wobec tego robić i jak postąpić? Przestrzedz Osnowskiego? — myśl tę odepchnął odrazu z oburzeniem. Zamknąć się z panią Anetą — i powiedzieć jej na cztery oczy kazanie? — wskaże mu drzwi. Przez chwilę przyszło mu do głowy zagrozić Kopowskiemu i wymódz na nim przyrzeczenie, że przestanie bywać w domu Osnowskich. Ale po chwili uznał, że i to na nic. Kopowski, jeśli ma choć trochę odwagi, zelży go, wyzwie — w takim razie on będzie musiał milczeć, a ludzie pomyślą, że awantura powstała z powodu panny Castelli. Zawilowskiemu było żal Osnowskiego, albowiem powziął dla niego szczerą przyjaźń, a z drugiej strony zbyt był młody, by zgodzić się odrazu z myślą, że zło i krzywda ludzka mają pozostać bezkarne. Ach, gdyby w tym razie mógł się kogo poradzić, naprzykład takiego Polanieckiego, albo Maryni! Ale nie mogło to być. I po dłuższym namyśle doszedł do przekonania, że należy mu wszystko pochować w sobie i milczeć.

Przytem, z namiętnej prośby Kopowskiego i z odpowiedzi pani Anety, wnosił, że zło mogło

jeszcze nie przejść w zupełny upadek. Kobiet nie znał — ale naczytał się o nich niemało. Wiedział, że istnieją i takie, dla których forma złego ma więcej ponęty od jego istoty — to jest kobiety pozbawione zmysłu moralnego, ale też i temperamentu, mające tyle samo pociągu do zakazanego romansu, ile niechęci do zupełnego upadku, słowem takie, które, niezdolne kochać nikogo, zawodzą zarówno mężów, jak i kochanków. Przypomniały mu się słowa jakiegoś Francuza: «Gdyby Ewa była Polką, byłaby urwała jabłko, ale nie byłaby go zjadła». Podobnym typem wydała mu się pani Osnowska. Zło mogło być w niej równie płytkie, jak i dobro, i w takim razie zakazany stosunek mógł jej się prędko znudzić, zwłaszcza z takim Kopowskim.

Tu jednak Zawilowski tracił ośnowę rozumowań i klucz do duszy pani Anety. Rozumiałby stosunek z każdym innym, ale nie z Kopowskim, z takim Cherubem o mózgu idyoty. «Pudel więcej rozumie, co się do niego mówi, — myślał Zawilowski — i kobieta z takimi aspiracyami do rozumu, do wiedzy, do artyzmu, do rozumienia wszelkich odcieni myśli i uczuć, może się poniżać dla takiej pałuby!» Tego nie umiał sobie wytłómaczyć nawet tem, co o kobietach czytał.

A jednak rzeczywistość mówiła wyraźniej

niż wszystkie książki, że tak było. Nagle przyszło na pamięć Zawilowskiemu, co mu mówił Osnowski, że bali się, iż «ten głuptaś może się mieć ku Castelce», że panią Osnowską ogromnie to gniewało, i że dlatego *montowała* jej głowę innym uczuciem. Więc pani Osnowskiej chodziło o to, by Kopowski nie starał się o pannę Castelli — i by go zachować dla siebie. Tu Zawilowski drgnął nagle, bo uderzyła go myśl, że jeśli tak, to jednak Kopowski miał jakieś widoki powodzenia. I cień znowu przesłonił mu jasną postać Linety. Gdyby tak było, spadłaby w jego oczach do poziomu pani Osnowskiej. Przez chwilę uczuł gorycz w ustach, a ogień w mózgu. Zerwał się w nim gniew, jak wichher. Tego nie mógłby jej przebaczyć, i samo podejrzenie otruloby go. Zatrzymawszy się znów na ulicy, czuł, że musi zdusić tę myśl w sobie, bo inaczej chyba oszaleje.

Jakoż zdusił ją tak dokładnie, że uznał się za ostatniego głupca, tylko dlatego, że mu mogła przyjść do głowy. Że panna Lineta nie była zdolna pokochać takiego Kopowskiego, najlepszy dowód był w tem, że pokochała jego — a obawy i podejrzenia pani Osnowskiej wypływały tylko z miłości własnej kobiety lekkiej i próżnej, która lęka się, by nie uznano innej za piękniejszą i bardziej ponętną od niej. Zawil-

łowski miał teraz uczucie, że zepchnął kamień z piersi, który go gniótl. Począł też w duszy przeproszać znów na klęczkach swoją niepokalaną, i myśli jego o niej były już odtąd pełne miłości, uwielbienia i skruchy.

Uczył sobie jednak uwagę, jak zło, choćby przez kogo innego spełnione, rodzi zło — i ile szkaradnych myśli przeszło mu przez głowę dlatego tylko, że widział durnia u nóg wietrznicy. Uwagę tę zanotował sobie w pamięci.

W pobliżu domu spotkał Polanieckiego pod rękę z panią Maszkową, i tak już był zatruty dniem dzisiejszym, że przeszło mu przez myśl nagle podejrzenie. Ale Polaniecki poznał go przy świetle księżyca i latarni i widocznie nie miał zamiaru się ukrywać, bo go zaczepił.

— Dobry wieczór — rzekł. — Co tak wczesnie dziś do domu?

— Byłem u pani Broniczowej, a teraz, ot tak, włóczę się, bo noc piękna.

— To wstąpże pan do nas. Ja tylko odprowadzę panią — i wracam. Żona dość dawno pana nie widziała.

— Dobrze — rzekł Zawilowski.

I istotnie wzięła go ochota zobaczyć panią Polaniecką. Tyle się przez niego przewalilo uczuć i myśli, że czuł się zmęczony, a wiedział,

że dobra i spokojna twarz pani Maryni podziała na niego w sposób kojący.

Po chwili też zadzwonił do Połanieckich i, wszedłszy, począł się po przywitaniu tłumaczyć, że przychodzi zaproszony przez męża, na co ona rzekła:

— Ale owszem, bardzo rada. Mój mąż odprowadza w tej chwili panią Maszkową, która mnie odwiedziła, ale wróci na herbatę. Pewno i państwo Bigielowie przyjdą, a może i mój ojciec, jeśli się nie wybrał do teatru.

To rzekłszy, wskazała mu miejsce przy stole, sama zaś, poprawiwszy ciemnik na lampie, zabrała się do roboty, którą była zajęta poprzednio, mianowicie do szycia kokardek z wązkich różowych i błękitnych wstążek, których pełno leżało przed nią.

— Co pani robi? — spytał Zawilowski.

— Kokardki. To się przyszywa na rozmaite ubrania.

Po chwili zaś dodała:

— Ale daleko ciekawsze jest, co pan robi? Czy pan wie, że już cała Warszawa żeni pana z Linetką Castelli. Widzieli was w teatrze, na wyścigach, widują na spacerach, i ani ludziom wytłumaczyć, że to jeszcze nie zdecydowane.

— Bo... mówilem zawsze z panią tak otwar-

cie, że i teraz powiem szczerze: że to już prawie zdecydowane.

A ona podniosła na niego ożywione uśmiechem i ciekawością oczy:

— Tak? A, to doskonała nowina! Niechże Bóg da panu takie szczęście, jakiego panu oboje życzymy.

Tu wyciągnęła do niego rękę, a potem, rozciekawiona, spytała:

— Mówił pan z Linetką?

Zawilowski począł opowiadać, jak było, i przyznał się do swojej rozmowy z panną Castelli i z panem Osnowskim; potem, unosząc się stopniowo w opowiadaniu, wyśpowiadał się ze wszystkiego, co się w nim działo: jak z początku przypatrywał się, krytykował, walczył z sobą, nie śmiał się spodziewać; jak starał się sam sobie wybić z głowy, a raczej z serca to uczucie — i jak nie mógł jednak mu się oprzeć. Zapewniał, że kilka razy obiecywał sobie przeciąć odrazu znajomość, bywanie, ale za każdym razem sił mu brakło, za każdym razem spostrzegał ze strachem, że już cały świat, cały cel życia tam; że bez niej, bez panny Linety, nie wiedziałby, co z tem życiem zrobić — i wracał.

Zawilowski nie mniej wprawdzie przypatrywał się, ale mniej krytykował i walczył z sobą,

niż opowiadał. Mówił to jednak szczerze. Dodał w końcu, że obecnie wie już z pewnością, że kocha nie swoje własne uczucie, uwięzione w pannie Linecie, ale ją samą, dla niej samej, i że to jest jego najdroższa w świecie głowa.

— Niech pani pomyśli — rzekł: — inni mają rodziny, matki, siostry, braci; ja, poza moim nieszczęśliwym ojcem, nie mam nikogo — i dlatego wszelkie ludzkie miłości skupiły mi się w niej jednej.

— Tak! — rzekła Marynia. — To się musiało stać.

On zaś mówił dalej z coraz większym uniesieniem:

— Ale ciągle jeszcze zdaje mi się, że to sen, i nie może mi się w głowie pomieścić, żeby ona naprawdę została moją żoną. Czasem zdaje mi się, że to nie może być i że zajdzie coś takiego, że wszystko przepadnie.

Rzeczywiste uczucie potęgowało się w nim jeszcze przez egzaltację, do której więcej od innych ludzi był skłonny, i wreszcie począł drżeć nerwowo, a potem zakrył oczy ręką i mówił:

— O! widzi pani! muszę oczy zasłonić, żeby sobie to dobrze wyobrazić. Takie szczęście! takie bajeczne szczęście! Czegoż człowiek szuka i w życiu i w małżeństwie? — właśnie szczę-

ścia! — a swoją drogą, to aż siły przerasta. Nie wiem, czym ja taki słaby, czy co? — ale szczerze mówię: czasem mi tchu nie staje.

Marynia położyła kokardkę na stole i, złożywszy na niej ręce, przez chwilę patrzyła na niego, poczem rzekła:

— Bo pan jest poeta i nadto się unosi. Powinien pan patrzeć spokojniej. Niech pan posłucha, co powiem. Ja mam książeczkę po matce, w której, będąc chora i nie spodziewając się długo żyć, spisywała dla mnie, co uznała za dobre. O małżeństwie napisała mi coś, czego później nie słyszałam od nikogo i nie czytałam w żadnej książce: że nie po to powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, tylko po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada — i że szczęście to tylko przydatek i podarek boży. Widzi pan, jakie to proste, a jednak doprawdy, że nietylko tego później nie słyszałam, ale nie widziałam, żeby ktoś, żeniąc się, albo wychodząc za mąż, więcej o tem myślał, niż o szczęściu. Niech pan o tem pamięta i niech pan powtórzy to Linetce — dobrze?

A Zawilowski popatrzał na nią ze zdziwieniem:

— Wie pani, że to jest tak proste, iż istotnie nie przychodzi nikomu na myśl.

Ona zaś uśmiechnęła się — trochę smutno —

i wzięwszy swoją kokardkę, poczęła ją zszywać znowu. Po chwili zaś powtórzyła:

— Niech pan to powie Linetce.

I szyla dalej, wyciągając szybkim ruchem swoją wychudłą nieco rękę, wraz z igłą.

— Rozumie pan: jak się taką zasadę ma w sercu, to się ma wieczny spokój — weselszy, albo smutniejszy — jak Bóg da! — ale jednakowo głęboki. A bez tego, to tylko jakaś gorączka szczęścia — i gotowe zawsze zawody, choćby dlatego tylko, że to szczęście może być inne, niż je sobie wyobrażamy.

I szyla dalej.

A on patrzył na jej pochyloną głowę, na jej migającą rękę, na jej robotę, słuchał jej głosu, i zdawało mu się, że ten spokój, o którym mówiła, unosi się nad nią, napelnia całe powietrze, zwiesza się nad stołem, pali się łagodnie w lampie — i wreszcie wstępuje w niego.

Był tak zajęty sobą, swoją miłością, że ani mu w głowie nie postąpiło, że serce jej może być przytem smutne; natomiast przejmowało go jakby podwójne zdziwienie: naprzód, że te prawdy, które ona mówi, są takim a, b, c, iż powinny leżeć na samym wierzchu każdego umysłu, a powtóre, że, mimo to, jego własny umysł nie wy dobył ich jednak z siebie, a przynajmniej na nie nie baczył. «Co to jest — pomyślał — mą-

drość nasza, książkowa, w porównaniu z tą prostą mądrością prawego kobiecego serca!» Potem, przypomniawszy sobie panią Osnowską i spoglądając na Marynię, począł monologować: «Tamto kobieta i to kobieta!» I nagle przyszła na niego ogromna ulga; wszystkie rozkolysane myśli ułożyły się do poziomu. Czuł, że wypoczywa, patrząc na tę szlachetną istotę. «W Linecie — mówił sobie — jest taka sama cisza, taka sama prostota i taka sama prawość».

Tymczasem nadszedł Polaniecki, a wkrótce potem Bigielowie, za którymi przyniesiono wiolonczelę. Przy herbacie Polaniecki mówił o Maszce. Sprawę o zwalenie testamentu prowadził Maszko z całą energią, i postępowała naprzód, choć trudności jeżyły się na każdym kroku. Adwokat, stojący ze strony instytucji dobroczynnych, ów młody Śledź, którego Maszko obiecywał opieprzyć, podlać oliwą i zjeść — okazał się nie tak łatwym do zjedzenia, jak się zdawało. Polaniecki słyszał o nim, jako o człowieku zinnym, upartym, a jednocześnie jak o biegłym prawniku.

— Co jest przytem zabawne, — rzekł — że Maszko, jak to Maszko, uważa się za jakiegoś patrycyusza, który walczy z plebejuszem i mówi, że to będzie próba: jaka krew tęższa? Szkoda, że Bukasio nie żyje, bo sprawiłoby mu to uciechę.

— A Maszko ciągle jeszcze w Petersburgu? — spytał Bigiel.

— Dziś wraca. Ona dlatego nie mogła zostać na wieczór — odpowiedział Polaniecki.

Po chwili zaś dodał:

— Ja miałem do niej w swoim czasie uprzedzenie, ale przekonuję się, że to niezła kobicina, a przytem biedna.

— Czemu biedna? Jeszcze pan Maszko sprawy nie przegrał — rzekła pani Bigielowa.

— Ale on ciągle przesiaduje za domem. Matka pani Maszkowej jest w zakładzie oftalmicznym w Wiedniu i podobno całkiem oczy traci, a ona siedzi po całych dniach sama, jak pustelnica. Mówię, że miałem do niej uprzedzenia, ale teraz mi jej żal.

— Prawda, — rzekła Marynia — że ona, od czasu jak wyszła za mąż, stała się daleko sympatyczniejsza.

— Tak, — odpowiedział Polaniecki — i przytem nie straciła wdzięku. Szpeciły ją dawniej czerwone oczy, a teraz jej to przeszło — i zawsze taka panienkowata, jak była.

— Niewiadomo tylko, czy Maszko z tego równie zadowolony — odrzekł Bigiel.

Lecz Marynię koczyło, by powiedzieć obecnym nowinę o Zawilowskim; ponieważ jednak nie był jeszcze urzędownie zaręczony, więc nie

wiedziała, czy można. Ale, gdy po herbacie pani Bigielowa poczęła go wypytywać, jak «sprawa» stoi, a on sam odrzekł, że jest prawie ukończona, wtrąciła i pani Marynia swoje słówko, oznajmiając obecnym, że sprawa stoi w ten sposób, iż mogą składać panu Zawilowskiemu życzenia. Wówczas wszyscy poczęli go ścisnąć za ręce, z tą prawdziwą przyjaźnią, jaką dla niego mieli — i wszystkich ogarnęła szczerza wesolość. Bigiel pocałował z radości panią Bigielową. Polaniecki rozkazał przynieść kieliszki i butelkę szampana, by wypić zdrowie «najwyubujalszej pary» w Warszawie, pani Bigielowa poczęła przekomarzać się z Zawilowskim, przewidując naprzód, co to będzie za gospodarstwo poety i malarki; Zawilowski śmiał się, ale zarazem był naprawdę wzruszony tem, że jego marzenia poczynają być czemś realnem.

W chwilę później, Polaniecki, trącając się z nim, rzekł:

— Szczęść Boże, a ja dam panu tylko jedną radę: co masz w sobie poezyi, to kładź w *dzieło*, w robotę, a w życiu bądź realistą i pamiętaj, że małżeństwo, to nie rom...

Lecz nie mógł dokończyć, bo pani Marynia położyła mu nagle rękę na ustach i rzekła, śmiejąc się:

— Cicho, ty mądra głowo!

A potem do Zawilowskiego:

— Niech pan nie słucha tego sensata, niech pan nie tworzy sobie żadnych teoryi z góry, tylko niech pan kocha.

— Tak, pani, tak! — odpowiedział Zawilowski.

A Polaniecki, drażniąc się, dodał:

— To kup pan sobie w takim razie harfę...

Ale, na wspomnienie o harfie, Bigiel chwycił swoją wiolonczelę, mówiąc, że taki wieczór trzeba skończyć muzyką; Marynia siadła do fortepianu, i po chwili poczęli serenadę Händla. Zawilowski miał wrażenie, że dusza z niego wychodzi, bierze te lagodne tony w siebie i leci, wśród nocy, kołysać nimi do snu Linetę. Późnym wieczorem wyszedł, jakby pokrzepiony widokiem tych zacnych ludzi.

KONIEC TOMU DZIEWIĘTNASTEGO.



„Tygodnik Ilustrowany“ daje rocznie przeszło 1200 ilustracji, oraz bezpłatne reprodukcje kolorowe obrazów artystów naszych.

W „Tygodniku Ilustrowanym“ drukują się stale jednocześnie **dwa utwory** powieściowe i nowelistyczne **oryginalne** celniejszych autorów polskich.

W dodatku powieściowym, dołączanym w arkuszach, daje Tygodnik utwory powieściowe głośniejszych pisarzy obcych.

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1900 bez żadnej dopłaty
dalszych

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 36-ciu 10-cio arkuszo-
wych tomach (z wyjątkiem „Trylogii“) **wszystkie utwory**
autora „**QUO VADIS**“.

Oprawa 12 tomów Dzieł Sienkiewicza wynosi rs. 2 (złr. 2.40);
w tym stosunku na oprawę 6 tomów dołączać należy rs. 1
(złr. 1.20); na oprawę 3 tomów kop. 50 (cnt. 60).

Pierwszych 12 tomów, zawierających:

Szkice węglem, Stary sługa, Hania, Janko muzykant, Listy
z Ameryki, Z Puszczy Białowieskiej, Bez dogmatu, Jamioł,
Organista z Ponikły, Listy z Rzymu, Wenecyi, Paryża,
Komedyja z pomysłów, Sachem,

mogą nabywać czytelnicy nasi za dopłatą rs. 5 (złr. 6.50),
w oprawie rs. 7 (złr. 8.90) za 12 tomów. Przesyłka kop. 80.
Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ wraz z dodatkiem
powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi:
w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową w Król.
i Ces. kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12,
zagranicą: rocznie rs. 13, półrocznie rs. 6 kop. 50, kwar-
talnie rs. 3 kop. 25.

W Krakowie kwartalnie 3.30 złr., w Lwowie kwartalnie złr.
3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75.
W Poznaniu rocznie Mk. 24, z przes. pocztową w Cesarstwie
Niemieckiem Mk. 30.

Adres Administracyi „Tygodnika Ilustrowanego“:

Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

78955 L-P

Biblioteka WSP Kielce



0226135